Nr. 9 (55) CENA 25 GR. ROK II

STER

...ŻYDOWSKI ... POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 1 Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

3 marca 1938 WARSZAWA 10 adar II 5698

LEOPOLD HALPERN

W OGNIU WALKI O PAŃSTWO ŻYDOWSKIE

Obradujący w Londynie Komitet Wykonawczy Światowej Organizacji Syjonistycznej (A. C.) zebrał się tym razem w okresie zaciekłej i, jak wydaje się, decydującej walki o Państwo Żydowskie w Palestynie. Z okolic Dżenin i z sąsiedztwa pałacu Wysokiego Komisarza, z żydowskich dzielnic Jerozolimy i z żydowskich kolonii dochodzą odgłosy strzelaniny terrorystów arabskich i salw wojska — ale prawdziwa rozgrywka toczy się w zasnutej mgłą stolicy Albionu: w salach obrad pałacu Westminsterskiego, w gabinetach rządowych na Downing-Street i w biurach Egzekutywy Syjonistycznej.

Tak się dotąd prawie zawsze układało, że wśród zmiennych perypetii kształtowania się polityki palestyńskiej stronie żydowskiej przypadała rola raczej bierna i wtórna. Decyzje o zmianie linii polityki rządu mandatowego zapadały w Londyne — natomiast syjonizm koncentrował swoją akcję wokół reagowania na te decyzje, czy to przeciwstawiając się im, czy też dążąc do częściowej ich zmiany. Dziś sytuacja przedstawia się pod tym względem inaczej: syjonizm przeszedł do objęcia inicjatywy, do czynnej akcji, do politycznej ofenzywy.

Splot obiektywnych warunków, głównie natury międzynarodowo-politycznej, złożył się na to, że jeśli ubiegłego lata akcja rozwiązania sprawy palestyńskiej na nowych zasadach posuwała się szybko i konsekwentnie naprzód, to od września ub. roku do stycznia roku bieżącego — utkwiła ona na martwym punkcie. Sytuacja „martwego punktu" jest w polityce częsta, bardzo rozpowszechniona i nie zawsze groźna. Bywa jednak ona niebezpieczna, kiedy czas nie jest sprzymierzeńcem, lecz wrogiem. Dla syjonizmu w sytuacji tkwienia na martwym punkcie czas jest właśnie najgroźniejszym przeciwnikiem: pomniejsza on nasze szanse, powiększa niewspółmierność pomiędzy tym, co już w Palestynie osiągnęliśmy, a tym co osiągnąć zamierzamy, osłabia nas w stosunku do przeciwników.

Dlatego pierwszym, najbardziej elementarnym i życiowo koniecznym zadaniem polityki syjonistycznej było ruszenie naprzód sprawy palestyńskiej. Stojąc przed plenum A. C. nasza Egzekutywa będzie miała prawo stwierdzić, że to wstępne zadanie zostało już wykonane. Oczywiście, że złożyły się na to w wysokim stopniu zmiany w polityce międzynarodowej, głównie na odcinku śródziemnomorskim, ale także akcja polityczno-propagandowa Ben-Guriona i Weizmanna w Londynie nie pozostała tu bez widocznego wpływu. W angielskim mechanizmie parlamentarnym wpływanie na opinię publiczną znajduje często szybkie i niemal bezpośrednie echo w enuncjacjach i posunięciach rządu. Na przestrzeni ostatnich tygodni ta współzależność pomiędzy akcją polityków syjonistycznych, jej odgłosami w parlamencie i krokami rządu — uzewnętrzniła się zupełnie wyraźnie. Schemat tej współzależności przedstawiałby się bardzo prosto: 1) referat kierownika Egzekutywy Syjonistycznej na posiedzeniu pro - syjonistycznej grupy posłów i lordów ze wszystkich stronnictw. 2) udanie się delegacji parlamentarzystów do premiera. 3) liczne pro - syjonistyczne interpelacje w Izbie Gmin, 4) odpowiedzi ministra kolonii, z których liczne oznaczały krok naprzód na drodze rozwiązywania sprawy palestyńskiej.

Najistotniejszym wszakże krokiem naprzód było mianowanie Komisji Podziału Palestyny. Już sama nazwa tej nowej komisji brytyjskiej przesądza, że zadaniem jej nie będzie tym razem teoretyczne rozstrząsanie sprawy palestyńskiej, ale przygotowanie praktycznego jej rozwiązania w duchu zaleceń Komisji Królewskiej lorda Peela. Wbrew przedwczesnym i na niczym nie opartym mniemaniom bezwzględnych przeciwników koncepcji podziału (Żabotyński np. pospieszył się i urządził jej... pogrzeb za życia!) — koncepcja ta jest podstawową wytyczną polityki palestyńskiej rządu angielskiego.

Jest to fakt polityczny, z którym musi się liczyć każdy, oceniający realnie obecną fazę zagadnienia palestyńskiego, bez względu na subiektywny stosunek do koncepcji podziału. Pod znakiem aktualności tej koncepcji będą też musiały potoczyć się polityczne debaty i uchwały A. C., naszego „małego parlamentu". W tych warunkach powtórzenie w Londynie w marcu 1938 r. polemiki, odbytej już w Zurichu w sierpniu 1937 r., z wszystkimi jej dobrze już ogółowi znanymi akcesoriami dramatycznymi i efektami retorycznymi byłoby nie tylko mało ciekawe, ale bezpłodne i politycznie szkodliwe. Najistotniejsze oktualne zagadnienie polityki syjonistycznej nie brzmi już: „czy podział Palestyny?" — ale: „jaki podział Palestyny?" Jakie granice przyszłego Państwa Żydowskiego; jakie jego gwarancje polityczne, gospodarcze, obronne; jaka procedura jego restytuowania — oto są pytania, oto rzeczywiste cele naszej politycznej walki!

Nie należeliśmy do entuzjastów idei podziału Palestyny w chwili jej proklamowania i nie jesteśmy nimi dziś. Nie tylko jak Usyszkin, ale jak każdy syjonista, jak każdy Żyd — wolelibyśmy mieć całą Palestynę, a w niej Państwo Żydowskie. I z celu tego nigdy nie zrezygnujemy. Nie spuszczając wszakże ani na chwilę wzroku z obrazu politycznej rzeczywistości, doszliśmy do przekonania, że droga do tego celu prowadzi pewniej i rychlej przez rozbudowę własnej państwowości bodaj na części terytorium Palestyny, niż przez bezpłodne pozostawanie w zabójczej dla nas pozycji „na martwym punkcie". Ostatnie półrocze w Palestynie dostarczyło nam poglądowej lekcji w tym duchu.

My dłużej czekać nie możemy! Ani w zdezorientowanym ruchu syjonistycznym, ani w podminowanej diasporze, ani w przeżywającej niepewność i stagnację Palestynie. Chcemy jak najszybszego wskrzeszenia naszego państwa w Palestynie, chcemy natychmiastowej i otwartej walki o nie. Od obradującego w Londynie „małego parlamentu" syjonistycznego oczekujemy udzielenia Egzekutywie najszerszych pełnomocnictw w kierunku podjęcia i przeprowadzenia tej walki.

Okno na świat

Jasna odpowiedź

UND BIST DU NICHT WILLIG
SO BRAUCH ICH GEWALT.

Chiny i Hiszpania przestały przykuwać uwagę opinii europejskiej — i poza europejskiej — z chwilą, gdy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, iż punktem newralgicznym pokoju jest w chwili obecnej przede wszystkim Europa Środkowa, a nade wszystko Czechosłowacja i Austria. To, co się dzieje w Wiedniu i w Pradze, w dwóch stolicach, przeciw którym został skierowany — jak dotychczas — tylko ogień kul prasowych i krasomówczych, jest istotne i decydujące dla pokoju europejskiego.

Nie sprawdziły się przewidywania tych, którzy rozmowy w Berchtesgaden ocenili jako koniec niepodległości małej Austrii. Prawdą jest, iż mąż zaufania Berlina otrzymał tekę ministra spraw wewnętrznych, prawdą jest również, iż szef armii austriackiej, Jansa, który sprzeciwiał się przyjmowaniu i zamawianiu w Niemczech materiału wojennego — ustąpił, a miejsce jego zajął feldmarszałek Kubena, który ponoć nie wtrąca się do spraw politycznych. Niemniej atoli prawdą jest, iż kanclerz Schuschnigg wygłosił przemówienie, nie mogące pozostawić iluzji co do jego zamierzeń na przyszłość, jakoteż i to, że w społeczeństwie i aparacie austriackim organizowany jest obecnie opór przeciw zakusom interwencyjnym. Opór ten, zapewne jest mile widziany i w Rzymie, dla którego Auschluss byłby w chwili obecnej klęską.

Niemniej rzeczą ważną jest, iż mimo sprzeciwu w sprawie wspólnego z Paryżem demarche, premier Chamberlain, którego sytuacja w chwili obecnej jest nader delikatna, stwierdził, iż polityka angielska bacznie śledzi wszystko, co się dzieje w Europie Środkowej. O tym, że jest tak, a nie inaczej, świadczy wynik konferencji państw bałkańskich, konferencji, inspirowanej w dużej mierze przez brytyjską dyplomację. Konferencja ta stwierdziła przywiązanie do... Ligi Narodów, jako też dbałość o dobre stosunki z państwami śródziemnomorskimi.

Bardziej jasno w sprawach Europy Środkowej wypowiedział się kierownik francuskiej polityki zagranicznej, Delbos, który przy ogólnym aplauzie Izby stwierdził, że:

> **„W odniesieniu do równowagi europejskiej — rząd francuski uważa utrzymanie niepodległości Austrii jako jeden z niezachwianych elementów pokoju. Hegemonia w basenie naddunajskim jest niedopuszczalna. Również jest rzeczą zgoła niedopuszczalną, by bliskość etniczna stała się pretekstem wtrącania się jednego kraju do spraw innego. Takie wtrącanie się musi pociągnąć za sobą skutki: Francja jest związana specjalnymi umowami z trzema państwami Małej Ententy".**

Jasne, prawda? Przemówienie Delbosa nie pozostawia żadnych iluzji co do dalszych planów Francji. Już po wydrukowaniu naszej zeszłotygodniowej kroniki przeczytaliśmy uwagi znakomitego publicysty, Aleksandra Wertha, w angielskim piśmie „New Statesman and Nation"; Werth stwierdza, iż Francja nie będzie życzliwym czwartym partnerem w „przyjacielskim brydżu", a jeśli Chamberlain zechce grać, pozostanie mu tylko partia à trois, we trójkę.

W takiej oto sytuacji, zabrał z kolei, po kanclerzu Hitlerze, głos feldmarszałek Goering. Z okazji święta lotnictwa niemieckiego wygłosił świetny łowczy z puszczy Białowieskiej wielkie przemówienie, którego akcenty różnły się mocno od bardziej „pokojowych" akcentów Hitlera. Adolf Hitler mówił o „zwei der an unserer Grenze liegenden Staaten, die eine Masse von über 10 Milionen Deutschen umschliessen". Goering sławił rozbudowę floty niemieckiej w sposób, który nawet tak dobrze dla ministra Halifaxa usposobione „Times" nazwały „Görings boast" — samochwalstwem Göringa.

Feldmarszałek Goering również mówił o dziesięciu milionach Niemców, ale użył innych wyrażeń. Oto słowa jego, w brzmieniu niemieckim: „Wenn der Führer in seiner Reichstagsrede jenes starke Wort gebrauchte, dass wir nicht mehr länger dulden würden dass **10 Milionen deutsche Volksgenossen** jenseits der Grenzen **vergewaltigt** würden, dann wisst Ihr, Mitglieder der **Luftwaffe,** dass,wenn es sein muss, Ihr für dieses Wort des Führers **einstehen müsst** bis zum letzten, Wir sind jederzeit einsatzbereit, zum Schutze der Heimat zu stehen."

Proszę zwrócić uwagę na inną definicję: tam mowa jest o 10 milionach, objętych przez obce państwa, tu mowa o pogwałceniu woli Niemców. Jak gdyby Niemcy w Austrii oraz Czechosłowacji o niczym innym nie marzyli, jeno o włączeniu ich do Trzeciej Rzeszy, a te ich marzenia zostały pogwałcone. I przeciw tym gwałtom, jak wynika z mowy niemieckiego feldmarszałka, powstaje lotnictwo, „które nie jest pokojowym instrumentem jeno najostrzejszą bronią wojenną".

Kanclerz mówił jeszcze o pokoju, coprawda niemieckim. Feldmarszałek Goering mówi językiem króla sylfidów z ballady Goethego:

Und bist du nicht willig,
so brauch ich Gewalt.

TYLKO DZIESIĘĆ MILIONÓW?

Przmeówienie Goeringa odbiło się żywym echem w prasie światowej.

Taka mowa nie mogła wiele dopomóc nowym kierownikom angielskiej polityki zagranicznej w urabianiu nieprzychylnej dla nowych posunięć opinii. „Daily Telegraph" zaznacza, iż w przemówieniu Goering grozi Czechosłowacji. „Daily Herald", organ labourzystów, chyba nie bez pewnej ironii pisze o tym, że zapewne ambasador angielski w Niemczech, Henderson, otrzyma polecenie by zwrócił uwagę na niepokojącą atmosferę którą podobne słowa wywołują.

Prasa francuska lekceważąc przechwałki szefa niemieckiego lotnictwa, zwraca zarazem uwagę, na konieczność wzmocnienia zbrojeń lotnictwa francuskiego. Natomiast ostro przeciwko temu przemówienu zareagowała prasa czeska. A więc zbliżone do czechosłowackiego ministerstwa spraw zagranicznych, „Prager Presse" pisze:

> **„Zwróciło powszechną uwagę, że feldmarszałek Goering mówił o „10 milionach niemieckich braci, pod drugiej stronie granicy„, o których wspominał już w swym przemówieniu dnia 20 lutego Hitler w Reichstagu. Zestawienie wojenne, w którym Goering poruszył ten temat — brzmi jak alarmujący sygnał... Goering mógł mieć na myśli tylko Austrię i Czechosłowację, co nie budzi żadnych wątpliwości. Jeśli prasa niemiecka tego nie wyjaśnia, to jednak każdy zdrowo myślący Niemiec może zapytać: czemu tylko 10 milionów Niemców w Austrii i Czechosłowacji, dlaczego nie 20 milionów Niemców w Alto Adige, w Polsce, na Węgrzech oraz w szeregu innych krajów? Czemu nie, jeśli w ogóle o tym mowa, nie owa dwadzieścia milionów? I czemu to po zgodzie z Austrią brać tak pod swą opiekę Niemców austriackich?" (2 marca 1938)**

Nie mniej zdecydowanym tonem, acz nie bez niepokoju odpowiada na mowę Goeringa czeskie pismo „Venkow":

> **„Wypowiedź ministra Goeringa o 10 milionach „pogwałconych" Niemcach w związku z rozbudową niemieckich zbrojeń lotniczych nie różni się niczym od kampanii o sowieckich aeroplanach u nas w kraju. wyrażenie brzmi groźnie, gdy, gdyż chodzi o niezwykłej wagi broń napastniczą... Ale lotnictwo jest obosieczną bronią, która z charakteru swego wyklucza argumenty natury moralnej. Nasza broń lotnicza wytrzymała już próbę, jako nowa broń posiada swoje tradycje. Nie możemy zrozumieć również znaczenia słów o 10 milionach pogwałconych Niemców poza granicami Rzeszy po tym, jak przecież doszło do dwustronnego porozumienia z Berlinem, po tym, jak podpisano deklarację z Polską, jak doszło do współpracy z Węgrami i Italią. Gdzież jest więc 10 milionód „pogwałconych" Niemców? Przecież mowa kanclerza Hitlera nie jest znowu tak starej daty, by sytuacja w ciągu 14 dni uległa aż takiej zmianie oraz by umowa w Berchtesgaden straciła swe znaczenie!"**

Jak widzimy, poza zdenerwowaniem i ostrością, słowa te nie kryją wcale powagi sytuacji. Odgłosy prasy czeskiej są bardzo znamienne dla nastroju jaki obecnie tam panuje: świadczą one również, iż w Pradze zdają sobie sprawę z tego, że wskazówki zegara z tragicznym fatalizmem posuwają się naprzód, a jeśli nic tego nakręcanego mechanizmu nie rozbije, zegar wkrótce wybije godzinę dwunastą.

„TYSIĄC LAT NIE BALIŚMY SIĘ NIKOGO..."

Na groźbę „bist du nicht willig" odpowiedział dnia 4 marca b. r. w parlamencie czeskim premier Hodża mową, która wywołała w krajach demokracji podziw, a w Niemczech — kwaśną minę. Niestety, nie posiadamy w Polsce wielkiej prasy informacyjnej, któraby — poza „Kurierem Warszawskim" — uważała za swój obowiązek przede wszystkim informować czytelnika, posługując się bardziej obiektywnymi źródłami informacji, aniżeli zaangażowana w jednostronnej polityce agencja telegraficzna. Toteż znamienne przemówienie Hodży nie wszędzie znalazło należne i należyte oświetlenie. A jednak premier Czechosłowacji postawił kropkę nad i i jasno odpowiedział na wszystkie groźby.

Przede wszystkim premier zaznaczył zgodność Francji oraz Wielkiej Brytanii w ich dążeniu do obrony status quo w Europie Środkowej. Następnie zażądał Hodża jasnego sformułowania stanowiska Niemiec. I tu padły następujące słowa:

> **„Służylibyśmy źle sprawom dalszego rozwoju spraw w Europie Środkowej, a najgorzej sprawie stosunków Czechosłowacji do Niemiec, gdybyśby uniknęli otwartego oświadczenia, że ani Czechosłowacja, ani jej ludność nigdy i w żadnych warunkach nie zgodzą się na mieszanie się do jej spraw wewnętrzno-politycznych..... Obecna sytuacja zmusza nas do oświadczenia, iż gdyby los postawił nas przed koniecznością obrony, Czechosłowacja będzie się bronić, bronić, bronić aż do ostatnich skutków, oparta o swą dojrzałość państwową i techniczną."**

Następnie premier Dr Milan Hodża stwierdził, iż sprawa mniejszości niemieckiej, jest czeską sprawą wewnętrzno - państwową i zakończył następującymi słowy:

> **„Tysiąc lat nie baliśmy się nikogo — i dziś nie obawiamy się również nikogo, bowiem jesteśmy pewni jedności serc i rozumu wszystkich warstw naszego narodu, i współpracy z tą częścią Europy, która jak my nie zdąża do zabroczych celów, jeno do pokoju i spokoju."**

Dr Milan Hodża, przemawiając w demokratycznym parlamencie w Pradze, postawił sprawy bardzo jasno. Zapewne zdawał sobie sprawę, że to nie tylko sprawa Czechosołwacji, i że w wypadku, jeśli obce wojska przekroczą granice jego kraju, zawierucha wojenna ogarnie cała Europę.

OUTSIDER.

WYDARZENIA I OGŁOSY

Moskwa

Ostatni proces moskiewski — który już z rzędu? — przeciwko wczorajszym bohaterom rewolucji, wodzom proletariatu, kierownikom Z. S. R. R. i Kominternu, a dzisiejszym „szpiegom państw faszystowskich“, „wściekłym psom kapitalizmu“, „ścierwom“ i „padlinom“ (cytujemy tylko terminologię prasy sowieckiej) — przekroczył swą absurdalnością, potwornością a jednocześnie groteskowością wszystko to, co dotąd działo się w tym obcym i całkowicie dla Europejczyka niepojętym milieu polityczno - społeczno - obyczajowym.

Proces t. zw. „prawicowego bloku trockistowskiego“ Bucharina, Rykowa, Rakowskiego, Krestińskiego i tow. można oceniać z najrozmaitszych punktów widzenia, z którejkolwiek wszakże strony spojrzymy na podłoże i przebieg procesu, nasunąć się nam muszą pesymistyczne wnioski w stosunku do panującego w Rosji reżymu, w stosunku do jego kierowników i reprezentantów, w stosunku wreszcie do przyświecającej mu moralności.

Tragedię moskiewską trzeba rozpatrywać w nastroju powagi, trudno wszakże wyeliminować z niej całkowicie momenty humorystyczno - groteskowe. Nie chodzi nam przytym o pewne zewnętrzne akcesoria procesu, jak śmieszny w swej nieskrępowanej „soczystości“ i wulgarnej napuszoności leksykon obelg, z którego bogato czerpie się przeciw oskarżonym, nie tylko na łamach oficjalnej prasy, lecz także na sali sądowej — prawdziwa groteskowość tkwi w samej treści aktu oskarżenia, bo jeśli zarzuty przeciw oskarżonym, niemal całkowicie przez nich samych potwierdzone, są istotnie oparte na prawdzie, wtedy nawet najbardziej bezstronnemu obserwatorowi nasunąć się muszą takie oto pytania: 1) Co warta jest pod względem ideowym, organizacyjnym i politycznym Trzecia Międzynarodówka, skoro jej prezes i najwybitniejsi przywódcy dążą nie do wywołania rewolucji proletariackiej na całym świecie, ale do wprowadzenia ustroju kapitalistyczno - burżuazyjnego w Rosji? 2) Co to za państwo z tej Rosji Sowieckiej, jeśli jej minister rolnictwa zajmuje się celowo niszczenem kultury agrarnej, minister finansów prowadzi politykę podatkową, obliczoną złośliwie na wywołanie niezadowolenia ludności i dąży do dewaluacji waluty, wysoki dygnitarz gospodarczy sprzedaje za bezcen surowce obcemu państwu, premierzy i dostojnicy dążą do oderwania od państwa całych prowincji i znajdują się na usługach obcego wywiadu, ambasadorzy agitują za wojną interwencyjną przeciw własnemu państwu, lekarze umyślnie źle leczą, narażają na przeziębienie, a w końcu zabijają najwybitniejszego reprezentanta kultury sowieckiej, a nawet tajniaki (n. b. ze szkoły carskiej ochrany) „lgną do ugrupowań antysowieckich, jak wrona do padliny“?

Jeżeli zaś to wszystko, co powiedziane jest w akcie oskarżenia i do czego przyznali się wszyscy oskarżeni (także Krestiński po chwilowym oporze. począł niespodziewanie „kajać się“) nie jest prawdą, wtedy groteskowość musi ustąpić miejsca głębokiej zgrozie moralnej i ponurej tragedii. Jakich bowiem tajemniczych i dla świata dotąd niezrozumiałych środków musiano użyć, w imię zmuszenia tych wybitnych przywódców i dygnitarzy sowieckich, aby się przyznali do niepopełnionych przez siebie potwornych zbrodni stanu, aby się publicznie kajali z grzechów niepopełnionych, aby sami obrzucali się błotem?

Proces moskewski nie jest pierwszy, nie będzie też zapewne ostatni... Komu więc z grona rządzących **dziś** dygnitarzy Z. S. R. R. i wodzów komunizmu przypadnie **jutro** zasiąść na ławie oskarżonych w roli „zdrajców, wrogów ludu, ścierwa, padliny“? I do czego to wszystko musi nieodwołalnie doprowadzić?

Luboń

W wielkopolskiej miejscowości Luboń ks. Stanisław Streich został zabity w czasie odprawiania nabożeństwa w kościele. Mordercą okazał się Wawrzyniec Nowak, jak informuje prasa, czynny komunista. Ten nieludzki, bezmyślny i prowokacyjny czyn doczekał się jednomyślnego potępienia ze strony całej opinii publicznej. Niezależnie od tego, Stronnictwo Narodowe wraz z elementami pokrewnymi postarało się o wyzyskanie morderstwa w Luboniu dla celów propagandy politycznej. W Warszawie doszło nawet do prób demontracyj ulicznych przeciw „żydo-komunie“ i nieodłącznych napaści na żydów, aczkolwiek morderca z wielkopolskiego Lubonia nie miał i mieć nie mógł nic wspólnego z żydami.

Komunizm w Wielkopolsce jest **czysto polski**, a nawet ze względów taktycznych, zabarwiony **narodowo**. Przyznaje to nawet „WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY“, pisząc:

> **„Przystosowanie komunistycznej propagandy poszło nawet tak daleko, że w jesieni 1936 r. rozrzucano w Wielkopolsce ulotki, podpisane przez Komitet Wykonawczy Narodowej Partii Komunistycznej“.**

Jest to na łamach urzędówki endeckiej bardzo cenne wyznanie. Okazuje się więc, że komunizm nie jest robotą żydowską, że owszem, rozwija się też w dzielnicy, gdzie nie ma żyda na lekarstwo i, że potrafi przystosować się do panującej w niej „narodowej“ atmosfery. Na powstanie i szerzenie się komunizmu wpływają inne, głównie gospodarcze przyczyny. Także i to stwierdza „W. D. N.“:

> **„Sprzyjały tym poczynaniom (komunistycznym) pogarszające się warunki gospodarcze. Stałe i niehamowane obniżanie się poziomu gospodarczego Wielkopolski dało w wyniku zmniejszenie się wytwórczości i upadek wielu warsztatów pracy, co stało się przyczyną wielkiego bezrobocia“.**

Tak pisze „W. D. N.“. Czy czytali to także i czy zrozumieli czytelnicy jego, demonstrujący w Alejach Jerozolimskich przeciw „żydo-komunie“?

Władysław Grabski

Władysław Grabski, b. wielokrotny premier i minister skarbu — nie żyje. Ta bogata, twórcza i prominentna osobistość Polski przedwojennej i przedmajowej miała za życia, jak wszyscy wybitni mężowie stanu, licznych zwolenników i entuzjastów obok nie mniej licznych antagonistów i krytyków. Także po śmierci ocena polityczno - państwowej działalności ś. p. Wł. Grabskiego nie jest jednolita. Obok niezaprzeczalnych zasług wymienia się też wielkie błędy.

Zmarły był od najmłodszych lat życia czynny społecznie i politycznie w zab. rosyjskim. Z ramienia Narodowej Demokracji trzykrotnie posłował do petersburskiej Dumy. Już Rada Regencyjna powołała Gr. na ministra rolnictwa. W krótkotrwałym i obdarzonym w swoim czasie przydomkiem „operetkowego“, gabinecie Świeżyńskiego, Grabski był ministrem skarbu. W r. 1919 wszedł do Sejmu Ustawodawczego z listy endeckiej.

W r. 1920 został ministrem skarbu, a potem równocześnie premierem. Przeprowadził wtedy popularną „Pożyczkę Odrodzenia Polski“ i pierwszą pożyczkę premiową, t. zw. „Milionówkę“. W tym czasie przeprowadził likwidację korony w b. Galicji po kursie 70 feningów co koła małopolskie potraktowały jako wielką dla tej dzielnicy szkodę.

Jako premier, w obliczu niebezpieczeństwa wojny z bolszewikami, udał się na konferencję w Spaa, gdzie poczuł się zmuszony do przyjęcia ciężkich dla Polski warunków. Latem 1920 r. rząd Grabskiego ustąpił na rzecz Rządu Obrony Narodowej z Wincentym Witosem i Ignacym Daszyńskim na czele. W rządzie tym Grabski pozostał ministrem skarbu do r. 1921

Okres szczytowy działalności państwowej Wł. Grabskiego przypadł na lata 1924 i 1925, gdy jako premier i minister skarbu podjął się trudnego dzieła stabilizacji waluty. Grabski przeprowadził likwidację inflacji markowej i wprowadził złotego polskiego, tworząc w kwietniu 1924 r. Bank Polski. Okazało się później, że likwidacja ta nastąpiła zbyt wysoko i oparta była na słabych podstawach. Grabski wywołał też wojnę celną z Niemcami, z dużą dla kraju stratą. W rezultacie tych błędów złoty załamał się już w lipcu 1925 r. Z parytetu 5,18 zł. dolar podskoczył na 9 do 10 zł. Dopiero w październiku 1927 roku przy pomocy pożyczki stabilizacyjnej udało się ówczesnemu ministrowi skarbu, ś. p. G. Czechowiczowi, ponownie ustabilizować złotego, ale już na poziomie 1 dol. = 8,18 zł.

Nazwisko Wł. Grabskiego łączy się też z perypetiami sprawy żydowskiej i żydowskiej polityki parlamentarnej w Polsce przedmajowej. W latach 1924-1925 Wł. Grabski zaostrzył niebywale system podatkowy, co doprowadziło do ruiny tysięcy przedsiębiorstw żydowskcih. W tym okresie powstały „popularne“ określena: „wóz Grabskiego“ (dla sekwestrowania ruchomości) i „alija Grabskiego“ (emigracja do Palestyny w r. 1925). Wespół z bratem swym, Stanisławem Grabskim, ówczesnym ministrem W. R. i O. P., Wł. Grabski zawarł słynną ugodę z posłami żydowskimi b. p. dr Leonem Reichem i b. p. dr Ozjaszem Thonem, reprezentującymi ówczesną większość Koła żydowskiego.

Jeszcze przed przewrotem majowym prof. Wł. Grabski wycofał się z życia politycznego i poświęcił się całkowicie pracy naukowej.

Szalom Szwarcbard

W Cape-Town zmarł Szalom Szwarcbard, zabójca atamana Petlury, uniewinniony przez francuski sąd przysięgłych.

B. p. Szalom Szwracbard był człowiekiem przeciętnym, podobnym do tysięcy innych, jedynie przez splot tragicznych wydarzeń historycznych wyniesionym na piedestał powszechnego zainteresowania. Urodzony w Besarabii, jeszcze w r. 1905 przeżył pogrom w Bałcie, gdzie wraz z ojcem brał czynny udział w samoobronie żydowskiej. Uciekł z Rosji i od 1910 r. osiadł w Paryżu, gdzie trudnił się zegarmistrzostwem. Jako ochotnik służył w wojsku francuskim, odznaczając się wielokrotnie.

Przebywając pod koniec wojny na Ukrainie przeżył grozę pogromów antyżydowskich, organizowanych przez oddziały atamana Petlury. W pogromach tych zginęli także krewni Szwarcbarda. Wspomnienie tych strasznych dni nie opuszczało Szwarcbarda przez lata. Dnia 25. maja 1926 r. zabił kilkoma strzałami Petlurę, przebywającego wtedy na emigracji w Paryżu. Sąd przysięgłych uniewinnił Szwarcbarda.

Tragiczna postać Szwarcbarda i jego czyn — wyrosły na podłożu zatrutej atmosfery pogromów antyżydowskich.

Marszałek Foch o dyktaturze

B. poseł M. Niedziałkowski ogłosił ciekawy fragment swych zapisków, który cytujemy:

> **„Tak się złożyło zgoła przypadkowo, że w marcu r. 1927 siedziałem na przyjęciu u prezesa francuskiej Izby Deputowanych obok marszałka Focha, naprzeciw nas siedział min. Paul-Boncour. Foch był, jak wiadomo, uosobieniem prostoty. Rozmowa z nim nie krępowała nigdy nikogo. Myślę, że ogłoszenie tej rozmowy (spisałem jej treść nieomal na poczekaniu), będzie dziś, gdy tyle lat już minęło od zgonu Focha, przyczynkiem wartościowym dla debat publicznych o problemie „wodzostwa“.**
>
> **Zapiski moje ówczesne przytaczam prawie dosłownie.**
>
> **Paul - Boncour: — Panie marszałku, czy ani razu nie przychodziło panu do głowy — na przykład, w okresie zatargów z Clemenceau, albo zaraz po zawieszeniu broni, by sięgnąć po dyktaturę?**
>
> **Marsz. Foch: — Daję panu słowo, że nigdy. A wiecie panowie dlaczego? ze względów rzeczowych.**
>
> **Foch odchyla się nieco w tył i mówi powoli i z zastanowieniem.**
>
> **Widzicie panowie. Armia nowoczesna — to zazdrosna królowa, zabiera człowiekowi cały mózg, całą wolę, całą energię. Obliczyłem sobie: ja — były wódz naczelny i ewentualny przyszły wódz naczelny, wojskowy „od urodzenia“, muszę, by utrzymać własny poziom fachowy, przestudiować rocznie do 300 dzieł; czytać codziennie kilkadziesiąt raportów; sprawdzać osobiście połowę tych raportów; znać położenie międzynarodowe; orientować się w błyskawicznym rozwoju lotnictwa, chemii, broni zmotoryzowanej; obliczyć konsekwencje; oceniać psychologię i sprawność roczników rekrutów... A to przecie jeszcze nie wszystko. I to już pochłania mnie całego. Muszę się wtrącać i do polityki gospodarczej i nawet niekiedy do polityki szkolnej — w imię interesu obrony narodowej. Ale gdyby ktoś chciał, bym, jako dyktator kierował polityką gospodarczą Republiki, czy polityką szkolną, — to bym rozłożył ręce: To jest ponad siły jednostki. Dyktatura jednostki — to fikcja.**
>
> **Paul - Boncour: — A Napoleon I.?**
>
> **Marsz. Foch: — Napoleon I. kierował państwem, które było karetą pocztową w stosunku do samochodu, jeżeli porównać r. 1810 z r. 1927; a jednak i wtedy kamaryla sprzedała swego dobroczyńcę i cesarza państwom sprzymierzonym, chociaż cesarz miał jeszcze szanse uderzenia ostatecznego.**
>
> **Niedziałkowski: — Tak, dyktatura jednostki przeradzała się zawsze i wszędzie w rządy tak zw. otoczenia; odczuwał to już Juliusz Cezar...**
>
> **Marsz. Foch: — Właśnie, a dziś — tym bardziej; oczywiście, mogą być konieczności nieuniknione, by wojskowy, obdarzony cechami męża stanu, objął na krótki czas pełnię władzy; ale dyktatura, jako system (reżim) jest z punktu widzenia obrony narodowej — katastrofą; bo armia — to zazdrosna królowa; wymaga od człowieka wszystkich sił, by sprostał swoim zadaniom...“**

O wybory do Gminy Żydowskiej

Już drugi rok trwają komisaryczne rządy w Gminie żydowskiej w Warszawie, a społeczeństwo żydowskie pozbawione zostało prawa wykonywania swego samorządu wyznaniowo - społecznego za pośrednictwem wybranych przez siebie reprezentantów.

Z inicjatywy Komitetu Warszawskiego Organizacji Syjonistycznej rozpoczęła się akcja zorganizowanego społeczeństwa pod hasłem przyspieszenia wyborów do Gminy. Do akcji tej przystąpiło już 10 organizacji politycznych i gospodarczo-zawodowych. Żydostwo Warszawy pragnie przywrócenia mu prawa kierowania swym samorządem.

Miesiąc Organizacji Syjonistycznej w Polsce

Centralny Komitet proklamował marzec, jako miesiąc propagandy Organizacji Syjonistycznej w Polsce. U progu drugiego roku kadencji kierownictwo demokratycznego syjonizmu polskiego przystępuje do wielkiej akcji, zmierzającej do wzmocnienia i rozbudowy Organizacji, przez wciągnięcie do jej szeregów najszerszych kół społeczeństwa żydowskiego.

Akcja ta rozpocznie się od podstawowej komórki ruchu: od miejscowego oddziału. We wszystkich oddziałach odbędą się walne zebrania oraz przeprowadzi się masową akcję werbunkowo-rejestracyjną wśród miejscowej ludności żydowskiej. Legitymacja członkowska, której rozpowszechnianie będzie ośrodkiem akcji miesiąca propagandy, obdarzy czynnym i biernym prawem wyborczym do lokalnych instancji syjonistycznych oraz na konferencje okręgowe. Konferencje te, po przeprowadzeniu demokratycznych wyborów, odbędą się w całym kraju z udziałem członków C. K.

Przed demokracją syjonistyczną stoją wielkie zadania, zarówno na odcinku tworzącego się Państwa żydowskiego w Palestynie, jak i na froncie walki o prawa obywatelskie i narodowe żydowskiej mniejszości nardowej w Polsce. Jeśli demokracja syjonistyczna oraz jej polityczny instrument — Organizacja Syjonistyczna w Polsce — mają zadaniom tym podołać, muszą być silne, liczebne i dobrze zorganizowane. To jest naczelnym hasłem miesiąca Organizacji Syjonistycznej w Polsce.

Redaktor „Steru“ Dr M. Kleinbaum wyjechał do Londynu na sesję Komitetu Wykonawczego (A. C.) Organizacji Syjonistycznej.

Kronika

ZAGRANICA.

— Pomiędzy francuską Izbą Deputowanych a Senatem powstał konflikt na tle ustawodawstwa pracy.

— Zmarł Gabriel d'Anunzio, włoski poeta, zdobywca Fiume.

— Pastor Niemoeller został skazany na 7 miesięcy więzienia i 2500 marek grzywny.

— Feldmarszałek Goering wygłosił wojowniczą mowę.

— W związku z procesem pomiędzy Negusem a jednym z przedsiębiorstw angielskich — rząd angielski uznał aneksję Abisynii przez Włochy.

— Wszyscy oskarżeni w moskiewskim procesie t. zw. „bloku prawicowo-trockistowskiego“ przyznali się do winy wśród objawów skruchy, samooskarżeń i samoupokorzeń.

— Ambasador brytyjski w Berlinie odbył konferencję z kanclerzem Hitlerem.

— W Tokio dokonano krwawego zamachu na Isoha Abe, przywódcę społecznej partii ludowej.

— Pojawiła się sensacyjna wiadomość, że Mussolini zaproponował Negusowi objęcie tronu części Abisynii pod protektoratem Włoch, widząc w tym jedyny środek opanowania sytuacji w kraju.

— Austriacki minister spr. wewn., dr Seyss-Inquart, wygłosił w Liwru mowę, zapowiadającą szereg koncesji dla nacjonal-socjalistów.

POLSKA

— Kongres krakowski Stronnictwa Ludowego obrał pełniącym obowiązki prezesa partii b. marszałka Macieja Rataja, prezesem Rady Naczelnej — b. posła Gruszkę.

— Nagrodę „Wiadomości Literackich“ przyznano Jeremiemu Wasiutyńskiemu za monografię p. t. „Kopernik“; nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich“ przyznano Boy'owi - Żeleńskiemu za „Marysieńkę“.

— W Warszawie zakończył się proces oenerowców, oskarżonych o rzucenie petardy na pochód P. P. S.. Sąd skazał Czesława Nowaka na 3 lata więzienia, Zdzisława Weintza na 2 lata, Ryszarda Kwiatkowskiego na dom poprawy aż do osiągnięcia pełnoletności.

— Zabójstwo ks. Stanisława Streicha w Luboniu, dokonane przez komunistę Nowaka, odbiło się głośnym echem w kolach katolickich.

— Wysłano do Berezy literata Leona Pasternaka za umieszczenie w czasopiśmie „Chochoł“ wiersza p. t. „Pieśń o hańbieniu rasy“.

— Sejm uchwalił ustawę o powszechnym obowiązku służby wojskowej, wprowadzającą m. in. służbę pomocniczą kobiet.

— Minister Beck udał się z polityczną wizytą do Rzymu.

— W Skierniewicach wymordowano w celach rabunkowych rodzinę i domowników gen. St. Kozickiego.

ŻYCIE ŻYDOWSKIE

— Z dniem 1. marca 1938 r. Polski Monopol Tytoniowy odebrał koncesje większości żydowskich sprzedawców papierosów.

— W Cape-Town zmarł Szalom Szwarcbard, zabójca atamana Petlury.

— Rząd rumuński ponownie przedłużył termin udowodnienia obywatelstwa przez Żydów, których obywatelstwo zakwestionowano — do 1. kwietnia.

— W Krakowie odbył się krajowy Zjazd Związku Pracy dla Morza Palestyńskiego „Zebulun“.

— Premier węgierski, Daranyi, wypowiedział się przeciwko krańcowemu antysemityzmowi i za rozwiązywaniem sprawy żydowskiej środkami legalnymi.

— W Rosji Sowieckiej miały miejsce ponowne masowe areszty syjonistów.

PALESTYNA

— Staraniem Parlamentarnego Komitetu Palestyńskiego odbył się w gmachu parlamentu angielskiego referat prezydenta Weizmanna o zagadnieniu palestyńskim.

— 1. marca 1938 r. Artur Wauchope, ustępujący Wysoki Komisarz Palestyny, opuścił kraj.

— 3. marca 1938 r. przybył do Palestyny nowy Wysoki Komisarz, sir Harold MacMichael.

— Pod Dżenin doszło do decydującego starcia pomiędzy bandą terrorystów arabskich a wojskiem angielskim, w wyniku którego banda uległa zupełnemu rozbiciu. W walce padło 80 Arabów.

— W Londynie odbyło się otwarcie sesji Komitetu Wykonawczego Światowej Organizacji Syjonistycznej (A. C.).

W. BARTZ

MOWA SCHUSCHNIGGA

Kanclerz Austrii, doktor Kurt von Schuschnigg określił dzień, w którym po raz pierwszy stanął naprzeciw kanclerza Rzeszy, a więc dzień Berchtesgaden, jako „ciężki dzień". A jeśli dać wiarę różnym, obiegającym Wiedeń, wersjom, w gronie zaufanych znalazł o wiele ostrzejsze jeszcze sformułowania dla swoich przeżyć na Obersalzbergu. Ale ten „ciężki dzień" i następnych po nim dziesięć ciężkich dni zakończyło się w końcu zwycięstwem kanclerza austriackiego. Wypadki 12. lutego, które świat pochopnie gotów był ocenić jako „finis Austriae", okazały się — po upływie tygodnia — wyraźną klęską narodowego socjalzmu, pierwszą wielką klęską Adolfa Hitlera; pierwszym bluff'em, który się nie udał, i nie odniósł skutku — tym samym okazały się wypadkami o historycznym dla świata znaczeniu. Pewnie, że perspektywa ta ma znaczenie tylko w obecnym stanie partii, która nie jest jeszcze rozegrana. Niesłusznie uznano berchtesgadenowskie posunięcie Hitlera za mat. Schuschnigg odegrał się i partia stoi teraz tak, jak przed Berchtesgaden. Posunięcie znów należy do Hitlera...

Nie ulega wątpliwości, że mowa



kanclerza austriackiego głęboko podziałała na Trzecią Rzeszę i jej kierowników. Prasa Rzeszy zamieściła urzędowo sporządzone, częściowo skrócone sprawozdanie i powstrzymała się od wypowiedzenia jakiegokolwiek poglądu. Milczenie to jest równie wymowne, jak „odkrycia" napaści „międzynarodówki bolszewickiej" zagrażającej Austrii. W Berlinie zrozumano wyzwanie Schuschnigga, a tym dotkliwiej dało się ono odczuć, że dla rozpowszechniania go oddano do dyspozycji radio Goebelsa. Z głośników Rzeszy — po raz pierwszy od lat pięciu — dało się słyszeć przemówienie nie-hitlerowskie w istotnych swoich częściach wręcz anty-hitlerowskie. Do klęski „Führera" przyłączyła się porażka jego ministra propagandy, który i tak już od miesięcy jest przedmiotem gwałtownych napaści i nienawiści ze strony towarzyszy partyjnych.

Hitler przemawiał dwudziestego lutego przez trzy godziny, a z tych trzech godzin nie więcej niż pięć minut poświęconych było Austrii. Ograniczył się do odmalowania katastrofy, której przyczyną były trudności przy przeprowadzeniu ugody austriacko-niemieckiej z jedenastego lipca 1936 i podał trzy konkretne punkty rozmowy w Berchtesgaden:

1. że części narodu austriackiego, która ma poglądy narodowo-socjalistyczne, udzielone będą w ramach obowiązujących ustaw równe prawa, podobnie jak to przysługuje wszystkim obywatelom państwa;
2. amnestia i
3. głębsze porozumienie obu państw drogą ściślejszych przyjaznych stosunków w rozmaitych dziedzinach możliwej współpracy politycznej, personalnej i rzeczowo - gospodarczej.

W przemówieniu kanclerza austriackiego stosunki pomiędzy Austrią a Niemcami stanowiły główny, a właściwie jedyny temat, który rozwinął z punktu widzenia historycznego, politycznego i gospodarczego oraz z punktu widzenia przyszłości. Zgodnie z Hitlerem określił trudności przy przeprowadzeniu ugody lipcowej jako „źródło niebezpieczeństw"; nie omieszkał jednak powiedzieć, że stanowi temu Austriacy nie są winni i nie życzą go sobie. We wszystkich innych punktach schuschniggowska interpretacja rozmowy w Berchtesgaden jest zupełnie sprzeczna z interpretacją Hitlera. Przede wszystkim w decydującym punkcie: w sprawie niepodległości Austrii. Hitler pominął ten punkt i ograniczył się do napomknienia o ugodzie lipcowej, nie mówiąc nic o tym, że niej zagwarantowana została suwerenność Austrii. Schuschnigg zato tym wyraźniej punkt ten podniósł. Wspomniał o trzech punktach ugody:

Po pierwsze wyraźne stwierdzenie kanclerza Rzeszy, że rząd jej uznaje pełną suwerenność Państwa Austriackiego;

po drugie stwierdzenie, że oba rządy uznają ukształtowanie się stosunków wewnętrzno - politycznych w drugim kraju, również kwestię austriackiego narodowego socjalizmu, za sprawę tego drugiego kraju, na którą nie chcą oddziaływać ani bez- ani pośrednio,

po trzecie stwierdzenie, że rząd austriacki zawsze będzie prowadził swą politykę w ogólności, a w stosunku do Rzeszy Niemieckiej w szczególności, po tej zasadniczej linii, która odpowiada faktowi, że Austria uważą się za państwo niemieckie.

W ostrych słowach potępił Schuschnigg działalność Komitetu Siedmiu i wiedeńskich przedstawicieli Rzeszy, **którzy uważali za stosowne drogą niesłusznych informacyj szkodzić i zatruwać stosunki międzypaństwowe oraz wbrew sensowi ugody lipcowej i woli, wyrażonej przez kanclrzą Rzeszy i Führera, zapewniać sobie możliwości nowej nielegalnej działalności w celu przywrócenia stanu rzeczy sprzed 11 lipca 1936.**

Po czym przypomniał Hitlerowi o tym że w Berchtesgaden „zostało powtórzone zapewnienie" iż III Rzesza będzie się starała nie mieszać w wewnętrzno - polityczne stosunki Austrii.

Amnestia ma być udzielona skazanym hitlerowcom, ale jednocześnie i socjal-demokratom, a na przyszłość „każda przeciwna prawu działalność" ma „ulegać ustawowo przewidzianej karze".

Legalna działalność hitlerowców austriackich jest dozwolona, ale winna być zamknięta w ramach Frontu Ojczyźnianego, co „nie stanowi nic nowego wobec naszego poprzedniego stanowiska. Zresztą Schuschnigg nie dopuścił do żadnej wątpliwości, że po Berchtesgaden, tak samo jak przed nim, uznaje za niemożliwe połączenie narodowego socjalizmu z prawdziwą austriackością:

Kto jednak mówi o socjalizmie czy nacjonalizmie i kto zwykł stawiać na ołtarzu swych poglądów narodowy socjalizm, niech weźmie pod uwagę: Nie nacjonalizm czy socjalizm, lecz patriotyzm jest hasłem Austrii. I to, co jest zdrowego w różnych myślach i programach, znajdzie swoje miejsce w Froncie ojczyźnianym!

Zaznaczył też Schuschnigg, że odrzuca narodowy socjalizm, i podkreślił zasadę, że w Austrii każdy jest „równouprawniony wobec prawa"; że życzy ona sobie „inntymnych stosunków ze wszystkimi centrami świata" i że jest i pozostanie „wolnym państwem".

Z trzech punktów rozmowy w Berchtesgaden, o których doniósł Hitler, znalazło się więc u Schuschnigga to, że austriaccy narodowi socjaliści powinni na przyszłość, jak zresztą powinni byli i dotychczas, wstąpić do Frontu Ojczyźnianego i „pod zupełnie tymi samymi warunkami, co przynależni wszystkim innym grupom"; i że nie powinni, jak i dotąd nie powinni byli, działać nielegalnie. Po drugie: amnestia. Trzeciego punktu współpracy politycznej, personalnej i rzeczowo - gospodarczej między obu państwami, u Schuschnigga brak. Zato u Hitlrea brak prawie wszystkiego, co powiedział Schuschnigg. Trudno znaleźć w historii drugą taką ugodę między dwoma mężami stanu, co do treści i interpretacji której już w pierwszym tygodniu po spotkaniu każda ze stron miałaby tak diametralne poglądy.

Nie ulega przy tym wątpliwości, że interpretacja Schuschnigga jest właściwa. Abstrahując bowiem od tego, że on mówił o Berchtesgaden wiele, a Hitler mało i że Schuschnigg powiedział rzeczy konkretne, a Hitler niewyraźne — za interpretacją Schuschnigga przemawiają fakty. W komunikacie o rozmowie na Obersalzbergu obaj mężowie stanu omówili pewne „środki". W dniu mowy Schuschnigga zaś środki te były w zupełności zastosowane. Polegały one na zmianie rządu austriackiego, na amnestii politycznej i na otwarciu Frontu Ojczyźnianego dla wszystkich, którzy doń chcą wstąpić. Te środki pokrywają się z interpretacją ugody berchtesgadenowskiej przez Schuschnigga. Przemawiają zaś przeciwko interpretacji Hitlera. Niezwykła presja, która wywarta została w Berchtesgaden na przedstawicielu Austrii, zdaje się nie pozostawać w żadnym stosunku do tego, co osiągnięto.

Odnośnie tej sprzeczności pomiędzy metodami a skutecznością Berchtesgaden wyłonie się pytanie, czy poza zastosowanymi „środkami" kryje się coś więcej, niż to widać nazewnątrz. Zmiany rządu nie można pod tym względem wziąć pod uwagę. Doktor Seyss-Inquart bowiem, nowy austriacki minister spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa, jest wprawdzie bez wątpienia skrajnym nacjonalistą, ale błędem byłoby uważać go za stuprocentowego nazi. Przemawia przeciwko temu fakt, że Seyss-Inquart należy do organizacji, powstałej na gruncie Sudetów niemieckich, wielko-niemieckie, ale nie narodowo-socjalistycznej, organizacji, która się nazywa „Kameradschaftbund" i stanowi związek Sudetendeutsche Partei Konrada Henleina. Naturalnie że od tych ludzi niezliczone nici personalne i ideologiczne prowadzą do narodowego socjalizmu! ale przeciwności pomiedzy ich mentalnścią austriacko-wielkoniemiecką a prusko-wielkoniemiecką mentalnością narodowego socjalizmu są głębsze, niż to się na ogół zwykło uważać. Wiadomą też rzeczą jest, że Seyss-Inquart był zaciętym przeciwnikiem przywódców nielegalnego narodowego socjalizmu (austriackiego), Leopolda, Tavs'a i towarzyszy, i że odrzucał ich metody. Wreszcie środki, które zastosował dla utrzymania bezpieczeństwa w Austrii, przemawiają przeciw ewentualnej tajnej misji. Nie można też przyjąć poglądu, że włączenie narodowych socjalistów do Frontu Ojczyźnianego ma zwolna prowadzić do zglajchszaltowania Austrii. Po pierwsze bowiem chodziłoby tu o długotrwały proces, który z pewnością nie był intencją presji berchtesgadenowskiej, a po drugie nie można przyjąć, że Berlin ma jakiekolwiek iluzje co do tego, co w najlepszym razie może oznaczać wstąpienie ograniczonej liczby narodowych socjalistów do silnie spojonej, od dawna istniejącej organizacji, którą pomyślano i stworzono jako organizację bojową przeciwko narodowemu socjalizmwi i która stoi otworem również dla wszystkich innych kierunków politycznych. Skoro więc ani zmiana rządu ani otwarcie Frontu Ojczyźnianego nie jest zwycięstwem Hitlera nie usprawiedliwia presji berchtesgadenowskiej i nie stanowi zarodku zglajchszaltowania Austrii, to okazuje się, że atak Hitlera w dniu 12 lutego został odparty, że to jest bluff, a „pokój niemiecki" — to klęska narodowego socjalizmu.

(Dokończenie na str. 4)

D. BIEGUN

EUROPA ŚRODKOWA — OGNISKIEM POLITYKI ŚWIATOWEJ

Niebezpieczeństwo, które od lat kryje dla pokoju światowego Europa Środkowa, zaostrzyło się szczególnie w lutym bieżącego roku. Wypadki, które miały miejsce w ostatnich tygodniach i teraz jeszcze się nie skończyły, tak wielkiej były doniosłości i tak szybko następowały po sobie, że szerokie warstwy skłonne były mieszać przyczyny ze skutkami. Ogólne zamieszanie groziło z powodu posunięć nieodpowiedzialnych.. To, że w miejscach, wystawionych na niebezpieczestwo, przede wszystkim w Pradze i Wiedniu, w ciągu tych ciężkich dni zachowano spokój, jest niezbitym dowodem dojrzałości politycznej małych państw i ich wiary w swoje siły. Niezwykle odważna mowa Schuschnigga wywołała odprężenie. Teraz oczy świata zwrócone są na Londyn, gdzie walczą ze sobą dwa zasadniczo przeciwne poglądy na taktykę, jaką przyjąć powinno w polityce zagranicznej pierwsze mocarstwo świata demokratycznego. Taktyka Anglii ma decydujące znaczenie dla całej Europy Środkowej. W tym wypadku polityczna niezależność i byt małych państw środkowo - europejskich zależne są od celów, jakie sobie postawi polityka brytyjska w Europie Środkowej.

Co w rzeczywistości zaszło?

Ledwie świat zdołał odetchnąć, po upadku Gogi, niebezpieczeństwo wybuchło w Austrii. Nie potęga żydostwa doprowadziła do upadku Gogi. Rząd Gogi upadł pod naporem mocarstw zachodnich, Związku Sowieckiego, Małej Ententy, podważonej gospodarki rumuńskiej i dwóch wielkich partii: narodowych zaranistów i „Żelaznej Gwardii" kapitana Codreanu. Polityka Gogi groziła Rumunii przekształceniem się w bezbronną ofiarę Niemiec. Czechosłowackie fabryki broni natychmiast zatrzymały dostawę broni. Londyńska City i wielkie banki paryskie wstrzymały kredyty. Lej z dnia na dzień tracił na wartości. Fabryki żydowskie z obawy wstrzymały produkcję, rozpolitykowanie mas zatruwało opinię publiczną i zagrażało spokojowi publicznemu. Cały aparat rządowy był absolutnie bezsilny wobec tych wszystkich zjawisk; rozwinął się korupcjonizm, który wydobywał na światło dzienne co raz nowe, niesłychane afery. Cała ludność domagała się zwrotu. Po 44 dniach Goga musiał ustąpić miejsca koncentracji narodowej. Nowa konstytucja przyjęta została przez naród 99% wszystkich głosów, biorących udział w plebiscycie. Manewry floty rosyjskiej na Morzu Czarnym zostały demonstracyjnie przerwane, a 6 dywizji odwołanych z nad granicy rumuńskiej. Politykę zagraniczną Rumunii pchnięto z powrotem na stare tory. Goga i Cuza wstrząsnęli jednakże podwalinami systemu bezpieczeństwa w Europie Środkowej i to dało początek niebezpiecznej anarchii międzynarodowej. Polityka Gogi zwrócona była przeciw Małej Entencie. Europa Środkowa bez Małej Ententy oznacza izolację Czechosłowacji i otworzenie Hitlerowi drogi na Ukrainę. Dla Czechosłowacji sąsiednia Rumunia stanowi jedyną granicę ze sprzymierzoną Rosją. Z chwilą, gdy Rumunia przechodzi do obozu nieprzyjacielskiego, pakt z Sowietami traci prawie swą wartość. Otoczenie demokratycznej Czechosłowacji staje się faktem dokonanym. Nie jest tajemnicą to, że Niemcy nie zatrzymają się w Pradze, gdy raz kości będą rzucone, lecz niewątpliwie posuną się aż do Morza Czarnego.

Niemcy w posiadaniu czeskiego przemysłu wojennego i rumuńskiej nafty, węgierskiej pszenicy i austriackich pozycji kluczowych byłyby faktycznym władcą Europy. Razem z Włochami stanowiłyby niebezpieczeństwo dla Francji i Anglii. Bo Berlin nie zaniechał swego „Drang nach Osten" ani nie wyrzekł się idei „Bagdadlinie". Apetyty azjatyckie skierowane są wprost na sfery interesów angielskich.

Po uwieńczonej powodzeniem propagandzie niemieckiej w Bukareszcie naiwnie przeceniano wpływy Hitlera w państwach nadbrzeżnych. Pod działaniem psychozy i obawy przed wojną wiele zjawisk w życiu politycznym tych państw przyjmowano za wyraz bezgranicznej władzy dyktatorów. Analiza sytuacji wykazałaby, jak bardzo nieuzasadnione jest takie ujęcie.

Zaproszenie Schuschnigga do Berchtesgaden i wydarzenia, które po tym nastąpiły, mowa Hitlera i wyraźne wskazanie na interesy w państwach sąsiednich — wszystko to wywołało ogromne podniecenie. Fala przerażenia groziła Europie zalewem. Pytano, skąd się bierze w postępowaniu Mussoliniego pasywność wobec tych wszystkich wydarzeń. Bardzo słuszne pytanie. Włochy były zawsze najenergiczniejszym przeciwnikiem łączenia się. Reminiscencje historyczne oddziaływują bardzo długo na politykę. W Rzymie nie zapomniano jeszcze „Sacrum Imperium Romanum Nationae Germaniae." I rzeczą jasną jest, że Niemcy nie zatrzymałyby się na Brennerze. W najlepszym razie stałyby się wtedy najpotężniejszym sąsiadem na północy. Bezpośrednio na własnej granicy taki nieobliczalny sąsiad jest bardziej niż niemiły. Kiedy w 1931 roku słabe, wygłodzone, rozbrojone i politycznie zależne od wszystkich sąsiadów Niemcy odważyły się na Unię Celną z Austrią, Mussolini najostrzej ją zwalczał. Kiedy w 1934 roku Hitler znowu powziął tę samą myśl, Mussolini zorganizował swoje siły i przez Austrię i Węgry udaremnił cały plan. Mussolini stał się obrońcą ideologii doliny naddunajskiej, w myśl której niezależność tych państw byłaby zapewniona pod auspiacjami włoskimi Austria, która wahała się między dwoma biegunami — Niemcami a Włochami — zawsze grawitowała bardziej w kierunku Rzymu. Szczególnie udogodnienia celne Włoch dla Austrii i Węgier, współpraca gospodarcza i poparcie miały błogosłwaiony wpływ na wzajemne stosunki tych państw. Wszystko służyło celowi przeciwdziałania naporowi Hitlera na Europę Środkową. Tym bardziej zaskoczyło wszystkich zachowanie Mussoliniego wobec posunięcia Niemiec we Wiedniu. Hitler groźnie mówił w Reichstagu o 10 milionach Niemców w krajach sąsiednich, a więc w Czechach i w Austrii, a Goering interpretował to potem — podobnie jak to zrozumiano w Paryżu i Pradze — jako zapowiedź wojny. Goering zwykł nazywać rzeczy po imieniu. Przemawiał przecież do ludzi z obrony powietrznej, a żołnierze lubią w ogóle jasność w wyrażaniu się. Niemiecka obrona powietrzna „nie została stworzona dla parady", lecz stanowi niebezpieczne narzędzie walki. Skądże więc u Mussoliniego brak zainteresowania?

Wkrótce karty zostały odkryte. Lata wojny etiopskiej i awantura hiszpańska nie przyczyniły się bynajmniej do wzmocnienia Włoch. W myśl obliczeń włoskich urzędników skarbowych, potrzeba imperium najmniej 30 miliardów lirów. Nowe podatki, które nałożono ku wielkiemu niezadowoleniu ludności, wynoszą tylko 4 miliardy lirów. Różnicę można otrzymać drogą pożyczki zagranicznej. Ten rolniczy kraj musi przywozić produkty rolne, a dla przemysłu nie ma surowców. Rozszerzenie terytorium kosztowało dotychczas wiele ciężkich ofiar, ale nie przyniosło żadnych korzyści. Największe nadzieje pokłada się w stosunkach z zagranicą. Nie licząc się z Berlinem w oświadczeniu swym w sprawie żydowskiej Rzym odseparował się od teorii rasowej. Oświadczenie to miało na celu uspokojenie umysłów w Pradze i Wiedniu. skąd przybywa najwięcej turystów i gdzie rozpowszechniano niepokojące wieści o prześladowaniu Żydów we Włoszech. Włochy uspokoiły żydowskiego turystę, bo zależy im na dewizach. W tych warunkach Mussolini nie mógł przeciwstawić się zakusom Hitlera w Austrii z tą samą energią i zdecydowaniem, co w latach poprzednich, choć to odpowiadałoby i dzisiaj interesom Włoch. Konflikt między Rzymem a Berlinem odkryłby przed światem naprężenie wewnątrz osi, co z pewnością nie przyniosłoby korzyści niemiecko - włoskiej polityce ucisku. W samej osi Hitler ma przewagę pod wieloma względami. Hasłem Berlina jest wolna ręka w Europie Środkowej wobec wolnej ręki Mussoliniego na Morzu Śródziemnym. Niemcy właściwie jeszcze nigdy nie spróbowały szczęścia na M. Śródziemnym. Mogą więc popierać tam Mussoliniego, nie poświęcając własnych interesów. Ale na M. Śródziemnym można też postępować naprzód tylko dzięki groźbom i to tłumaczy, dlaczego Mussolini trzyma się mocno osi mimo wzrastającego naprężenia w jej stosunkach wewnętrznych. Abstrahując od pokrewieństwa ideologicznego obu dyktatur oś jest najważniejszym oparciem dla Rzymu w polityce zagranicznej. Kiedy ta bańka pęknie — nie można jeszcze przewidzieć. Jest już jednak tajemnicą publiczną, że Mussolini za wysoką cenę na wszystko się zgodzi. Hitler uważał nawet za konieczne polemizować z tym stanowiskiem w swojej mowie i dwukrotnie podkreślił, że Niemcy nie dadzą się kupić. Niemcy nie ustąpią z raz powziętego w polityce zagranicznej stanowiska nawet, jeśli zostaną zupełnie izolowane. Trudno pojąć taką uwagę, gdy się nie wie o naprężeniu wewnątrz osi. To, że właśnie w tym momencie słabości osi Schuschnigg w swojej płomiennej mowie za niezależnością Wiednia wykazał więcej odwagi, niż Chamberlain i potęga angielska — jest rzeczą pocieszającą i smutną zarazem. Niechby Torysi chcieli i teraz, podobnie jak po i podczas wyprawy abisyńskiej, uratować prestige Duce, idąc na ustępstwa i udzielając pomocy materialnej, — to spowoduje to wielkie niebezpieczeństwo na przyszłość. Spór między Edenem a Chamberlainem odnośnie pertraktacji z Włochami pozostaje w bezpośrednim związku z sytuacją w Europie Środkowej. Powstaje pytanie, jak daleko zajdą ustępstwa angielskie na rzecz dyktatur. Wszyscy godzą się na to, że Londynowi chodzi w pierwszym rzędzie o to, by zyskać na czasie. Ale w tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo. Energiczna ingerencja mogłaby może już dziś usunąć niebezpieczeństwo. Oby jutro nie było za późno! Dyktatorzy są wielkimi sfinksami polityki europejskiej. Wiedzą o tym i utrzymują świat w napięciu. Fakt, że w Pradze zachowano spokój i otwarcie oznajmiono światu przez usta generała Krejči, iż Czechosłowacja jest dość silna i dostatecznie uzbrojona by odeprzeć skutecznie pierwszy atak; rzadkie w Austrii zjawisko, że robotnicy i Schuschnigg konformują się i na tysiącach zebrań dają wyraz silnej woli i zdecydowania się na wszystko, byle tylko obronić niepodległości Austrii — wszystko to wnosi moment spokoju i pewności do na ogół niepewnej sytuacji. W Pradze podkreśla się zdecydowanie, że nie należy narówni traktować Czechosłowacji z Austrią, Praga bowiem ma pakty z Francją i Sowietami, a po nowych oświadczeniach Francji w parlamencie, jakie niezwykle uroczyście złożył rząd nie należy wątpić ani przez chwilę, że Paryż dotrzyma swoich zobowiązań militarnych w stosunku do Pragi. Pod tym względem Flandin ze swoją propagandą porozumienia z Niemcami i uwolnienia się od zobowiązań w stosunku do Pragi i Moskwy poniósł porażkę na wszystkich frontach. Błędem byłoby jednakże uznać, że niebezpieczeństwo już jest odżegnane. Napór narodowego socjalizmu na Europę Środkową trwa.

Spotkanie w Berchtesgaden mocno przypomina Gastein w roku 1855. Przeszkodzono wtedy zagrażającemu wybuchowi wojny między Austrią, Włochami i Prusami. Ale był to tylko krótki moment wytchnienia. Już w 1866 miała miejsce krwawa bitwa pod Königgrätz.

Zbyt częsta w naszych czasach historia się powtarza. W tej samej sali, w której we Wiedniu mniejszości narodowe monarchii walczyły o swoją niepodległość i prawa, Schuschnigg wygłosił płomienną mowę w obronie niepodległości samej Austrii.

Czy i jak długo wytrwa? Od tego zależy w wysokim stopniu przyszłość cywilizacji europejskiej. Teoria porozumienia z dyktatorami za wszelką cenę gotowa jest nawet wydać Europę Środkową na pastwę faszyzmu i pozwolić, aby fala barbarzyństwa zalała tę ostatnią wyspę demokracji. Narody o tak głębokim poczuciu narodowym i tak wysokiej wartości moralnej, jak właśnie narody Środkowej Europy, nie wyrzekną się swej niezależności. Każda prowokacja dyktatorów musi doprowadzić do niszczycielskiej wojny. Tylko polityka mężnego reagowania na wszelkie zjawiska w życiu politycznym narodów, polityka, któraby uszanowała podstawy odpowiedzialności międzynarodowej, może zawczasu sprowadzić napastnika do opamietania, — a świat uratować od zagłady.

Inż. A. GLIZER

Pożegnanie Wauchope'a

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Sir Arthur Wauchope nie ma szczęścia do pogody. Odwiedził on dotąd port tel-awiwski pewnie z dziesięć razy, a nie zdarzyło mu się bodaj ani razu widzieć go w czasie pracy. Tak się składało, że ilekroć przyjeżdżał, szalała burza i łodzie nie mogły wypływać na morze. Toteż naturalnym jak gdyby zakończeniem serii jego odwiedzin była burza o rzadko spotykanej sile, która rozpętała się w dniu, w którym miał wyjechać na spotkanie pierwszych dwunastu pasażerów, mających wylądować w porcie tel-awiwskim.

Gdy dnia poprzedniego pogoda zaczęła niedopisywać, a morze pienić, powszechne zdenerwowanie opanowała Tel - Awiw. Jest coś szczególnego w stosunku mieszkańców tego miasta do „ich" portu. Pamiętna fala entuzjazmu, która rozlała się po mieście w dniu 19 maja 1936 na widok pali wbitych w dno morskie i na prędce wzniesionego mostku (który woda zniosła zresztą już po paru dniach), — pozostawiła ślad na zawsze. Każdy tel-awiwianin, jeśli nie każdy żyd palestyński, czuje się „współwinny" w narodzinach tego dziecka. A oto teraz, gdy dziecko miało dostać świadectwo dojrzałości, niebiosa się buntują. Jakżeż wylądują pasażerowie „Har-Cjonu", gdy na morzu szaleje burza?

Toteż nie wylądowali. Lecz uroczystości się odbyły, i — co najważniejsze — ani pozbawienie ich tego punktu najistotniejszego, ani psia pogoda, ne zdołały zepsuć nastroju. Zdenerwowanie poprzedniego dnia przeszło w swego rodzaju dobroduszność. Okazało się, że żydzi posiadają jeszcze dużo dobrego humoru. Dziesiątki tysięcy ludzi zaległo spoczywający port, obejrzeli jego urządzenia i wysłuchało oznajmienia Wysokiego Komisarza, że port tel-awiwski dla pasażerów i ładunku został otwarty. Ulewa nie ugasiła ich entuzjazmu.

To podchodzenie do rzeczy od strony właściwej znalazło swój wyraz i w przyjęciu, zgotowanym Wauchope'owi. Otwarcie nowego portu przez Wysokiego Komisarza, który przyjeżdżając do kraju zastał tylko jeden jedyny port w Jaffie, a wyjeżdżając zostawia trzy, było zarazem pożegnaniem jego z Tel-Awiwem. Na jego zresztą prośbę przyspieszono otwarcie portu pasażerskiego tak, aby osobiście zdążył dokonać otwarcia tego. Tel - Awiw pożegnał się z nim serdecznie.

Bilans siedmiolecia jego rządów nie jest prosty. Wauchope'a nie da się porównać do poprzedników jego. Było dużo tragizmu w jego rządach, ale nie w duchu tragedii klasycznej, gdzie wszystkie postacie są albo czarne albo białe. Klasyczni urzędnicy, jak Plumer lub Chancellor, zaklasyfikowali się w pamięci żydowskiej zupełnie wyraźnie: pierwszy pozytywnie, drugi negatywnie. Ale Wauchope nie był klasycznym urzędnikiem, lecz człowiekiem współczesnym o nowoczesnych poglądach — a przy tym, człowiekiem skomplikowanym. Nikt nie potrafi zamknąć dziś karty „Wauchope" w wielkiej palestyńskiej księdze rachunkowej

i orzec zdecydowanie: saldo jest dodatnie lub ujemne. Miał może rację sam Wauchope, gdy powiedział niedawno, że wszystko to można będzie zrozumieć i należycie ocenić dopiero za jakich lat dziesięć.

Ale żydzi w Palestynie skłnni są wierzyć, że co czynił, czynił z dobrej woli. A dokonał bardzo dużo dobrego i bardzo dużo złego. Szerokie masy jiszuwu wierzą, że to, co zrobił dobrego, to z przyjaźni, a złe uczynki wypływały z błędu. Żegnając go, pamiętają o przyjaźni jego, nie wypominają mu jego błędów. Pamiętają jego przywiązanie do Palestyny, zrozumienie i poparcie, które okazywał; rzucają jak gdyby zasłonę na rezultaty jego polityki w ostatnim okresie. Nie znaczy to, aby zapomnieli. Trudno zapomnieć coś, co legło ciężarem na każdej godzinie każdego człowieka w tym kraju. Nikt nie żałuje końca rządów Wauchope'a. Ale żałują tego porządnego starego gentleman'a, któremu się tak źle pod koniec powodziło. Szczera i niekłamana była serdeczność pożegnania.

Widać zresztą i ze strony Wauchope'a chęć okazania serdeczności i przyjaźni. Jego objazdy pożegnalne, odwiedziny zapowiedziane i niezapowiedziane w najrozmaitszych zakątkach jszuwu, mowy przy tej okazji wygłoszone, mają w sobie mało oficjalnego, a bardzo dużo ludzkiego. Toteż wywołują echo.

Było dużo mimowolnej symboliki w ceremonii otwarcia portu tel-awiwskiego. Owi pasażerowie, którzy nie mogli wylądować z powodu burzy, symbolizowali równie dobrze sytuację alii, jak i sytuację portu, który nie będzie mógł pracować ze stuprocentową pewnością tak długo, jak długo nie będzie w Tel-Awiwie prawdziwego, głębokowodnego portu, do którego mogłyby zawijać okręty, a nie tylko łodzie. Tłum, którego deszcz i burza nie odstraszyły, był mikroobrazem żydostwa palestyńskiego, posuwającego się już od dwuch lat pod obstrzałem naprzód. Pożegnanie zaś z Wysokim Komisarzem przy akompaniamencie ulewy i wichury — godnym zakończeniem ostatniego okresu jego rządów.

Ale oprócz otwarcia portu, wydarzyło się tego dnia coś jeszcze. Założenie kamienia węgielnego pod most im. Wauchope'a na Jarkonie, krok ku dalszemu rozwojowi i rozszerzeniu Tel-Awiwu.

Na odchodnem Wauchope powiedział: „ostatnie moje słowo pożegnania: hatikwa".

Tel-Awiw, 6.3.38.

Sytuacja Żydów rumuńskich

po upadku Gogi i Cuzy

Szczęściem było dla żydów rumuńskich, że rząd Gogi i Cuzy przejadł się antysemityzmem. Chwytając za wiele na raz, sam kopał sobie grób. Gdyby był rozumny i umiarkowany, stałby jeszcze dziś u steru a żydzi rumuńscy byliby wydani na powolną zagładę. Ale kogo bogowie chcą zgubić, karzą — jak wiadomo — ślepotą. Bardziej umiarkowany Goga był więźniem starego Cuzy, a ten chciał — ma już prawie 82 lata — szybko i w całej pełni zakosztować triumfu nad Izraelem i żydowskim Bogiem. Dlatego żydów rumuńskich dręczono dzień w dzień antysemickimi ustawami i rozporządzeniami.

Bez żadnej zmowy lecz na skutek przerażenia, które zawisło nad żydami, cała gospodarka w kraju została sparaliżowana. Żydzi rumuńscy bowiem odgrywją wielką rolę w dziedzinie gospodarczej. Ponieważ nie wiedziano, co przyniesie jutro, siła odśrodkowa żydowskego zmysłu ekonomicznego została zatrzymana. Nie kupowano i nie sprzedawano, szturmowano banki, wyjmowano wkłady, fabryki redukowały pracę, urzędy celne opustoszały, wpływy państwowe spadły do minimum i nie tylko żydzi, lecz także chrześcijanie wykazywali daleko idącą powściągliwość w działalności gospodarczej.

Doszły do tego nadużycia wielu prefektów. Żydzi na Bukowinie wiele wycierpieli. Prefekt Robu, filar cuzizmu, zachowywał się jak nieodpowiedzialny pasza, wobec którego policja i prokuratura były prawie bezsilne.

Po nagłym upadku rzadu cała Rumunia odetchnęła. Uwolnienie kraju od tego rządu było zbawieniem nie tylko dla żydów, lecz i dla chrześcijan.

*

Czy po upadku rządu Gogi sprawa antysemityzmu została w Rumunii załatwiona? Nie! Załatwiona jest tylko sprawa cuzizmu, tego szczególnego rodzaju antysemityzmu rumuńskiego. Rzadu Cuzy nie będzie już nigdy nie tylko dlatego, że Cuza jest już leciwym mężem, lecz i dlatego, że niemożliwością okazało się naśladowanie w Rumunii szybkich metod Hitlera. Tu trzeba przystepować do dzieła o wiele wolniej. Musi się oszczędzać gospodarki, a ona jest na punkcie żydów bardzo wrażliwa. Kraj nie potrafi się obejść bez żydowskiego zmysłu gospodarczego, bez żydowskiej przedsiębiorczości i właśnie bez żydowskiego kapitału. Jakkolwiek przeciętny Rumun, również i chłop, jest o wiele obrotniejszy, niż Niemiec w tym samym położeniu, to jednak nie rozporządza on tą pilnością, wytrwałością i energia, oraz talentem organizacyjnym, które wyróżniają Niemca i którymi on służy zbiorowości. Młodzież rumuńska z zamiłowaniem szuka i z łatwością znajduje posady państwowe i zazwyczaj pewny dostęp do przedsiębiorstw prywatnych. Długo potrwać musi i trzeba na to wychować całe pokolenie, by Rumuni mogli objąć pozycje gospodarcze żydów. Wiedzą o tym przewodzacy rumuńscy mężowie stanu i należy się spodziewać, że nowy i nastepne po nim rzady beda ostrożniej przystepowały do dzieła, niż zupełnie zdyskredytowany rząd Gogi i Cuzy.

Nie trzeba się łudzić: antysemityzm w Rumunii nie przestał gospodarzyć. Zmądrzał tylko i stał się ostrożniejszy. Dlatego też sytuacja żydów jest akurat tak niebezpieczna, jak w okresie przed rzadem Cuzy i Gogi, za panowania liberałów pod przywództwem Tatarescu. Nacionalizm jest i nadal świętościa. Nadal uprawia się rugowanie żydów z wolnych zawodów. Rozporządzenia z okresu rządu Cuzy i Gogi nadal obowiazują. Rewiduje się nadal obywatelstwo żydów, na skutek czego pół miliona żydów utraci obywatelstwo i znajdzie sie w takim położeniu, jak przed wojna, to znaczy w położeniu współmieszkańców bez prawa obywatelskiego. Możliwości ich beda bardzo, a bardzo ograniczone, gdyż do większej części zawodów potrzeba obywatelstwa rumuńskiego. W najlepszym razie będą români protejati — nie obywatele, lecz klienci patronujacej Rumunii — w sensie art. 2 układu o mniejszościach, który cudzoziemcom zapewnia pewne prawa wolności. Ale wolność bez chleba jest bezużytceczna i setki tysięcy żydów myśli już teraz poważnie o tym, jak osiedlić się w Palestynie, czy gdziekolwiek indziej w świecie. Nie trzeba opisywać, jaka rozpacz panuje w tysięcach domów żydowskich. Wprawdzie posiadanie świadectwa obywatelstwa nie przynosiło żydowi pełnego równouprawnienia, ale brak jego może spowodować katastrofę. Nie ma się wtedy prawa pozostawać w kraju jest się tylko tolerowanym. Jest się narażonym na wypędzenie, na ucisk denuncjacji.

*

Rewizja obywatelstwa godzi szczególnie w adwokatów żydowskich. W wielu izbach adwokackich większości chrześcijańskie zawiesiły w czynnościach swych kolegów — żydów — motywując to tym, że nie dowiedli swego obywatelstwa, brak im przeto najważniejszego uprawnienia do wykonywania zawodu adwokata.

Spuścizna po rządzie Cuzy i Gogi jest też zarządzona droga dekretu rewizja dyplomów wszystkich tych lekarzy i farmaceutów, którzy studiowali za granica i zaczeli pracować w swym zawodzie po wojnie. Ustawa ta, obowiazujaca ogólnie, godzi szczególnie w lekarzy- i farmaceutów - żydów, gdyż przeważnie żydzi ze względu na znane wszystkim stosunki na uniwersytetach rumuńskich, musieli studiować za granica. Ustawa ta jest tak sformułowana i wymaga tak skomplikowanych dokumnetów dowodowych, że wielu nie bedzie ich mogło okazać. Grozi im wiec niemożność dalszego wykonywania swego zawodu. Nie jeden z nich będzie miał złamaną kariere życiową.

Należy sie spodziewać surowego stosowania tego projektu, gdyż nikt inny, tylko nowy premier, patriarcha Rumunii Miron Christea, wypowiedział sie publicznie za surowym przeprowadzeniem tej rewizji.

Zarzadzone przez rzad Cuzy i Gogi zwolnienia lekarzy żydowskich, zatrudnionych w Kasach Chorych, przeprowadza się również z cała surowościa. Tak np. w Cernanti wszystkich ośmiu lekarzy z Kasy Chorych (ośmiu na dwudziestu pieciu) niedawno otrzymało wymówienia.

*

Nowy rzad uchwalił zmiane konstytucji. Promulgacja projektu nastapiła 21 lutego.

Treść tej nowej konstytucji znana jest z prasy. Odnośnie żydów nie zawiera nic, coby ja odróżniło od poprzedniej. Zastrzeżone dla większości rumuńskiej pierwszeństwo przy obejmowaniu posad państwowych dotyka mniejszości etniczne, a żydów bardzo mało, gdyż konstytucja kodyfikuje tylko to, co już od wielu lat bezsprzecznie stosowane jest w praktyce. Zastanowienia wymaga uchwała, że obywatele, którzy starają się o obca opieke, traca obywatelstwo. Jest to postanowienie bardzo rozciagliwe, przeto niebezpieczne. Czy petycja do Ligi Narodów np. oznacza szukanie obcej pomocy?

Nie ulegało żadnej wątpliwości to, że plebiscyt przyniesie pełne zwycięstwo nowej konstytucji.

Nowa konstytucja zmienia dotychczasowy system parlamentarny i wprowadza stałe przedstawicielstwo. Jak to się odbije na żydach — nie można jeszcze na razie przewidzieć.

Dokończenie z str. 3

Zrozumieli to najpierw sami austriaccy narodowi socjaliści i chcieli — za lub bez zgody Berlina — przez demonstracje znowu możliwie najprędzej wysunąć problem, którego Berlin po mowie Schuschnigga wysunąć nie był w stanie. Dotychczasowe demostracje ograniczały się jednak tylko do jednego z austriackich państw związkowych i ani liczny w nich udział, ani siła wewnętrzna, ani też poparcie Berlina nie wystarczyły na to, by złamać opór Wiednia, silniejszy niż kiedykolwiek przed tym. Wiedeń wysłał wojsko, Wiedeń usunął urzędników, sympatyzujących z narodowymi socjalistami, Wiedeń zamknął uczelnie wyższe i średnie, Wiedeń dał do zrozumienia, że chce aż do najdalej idących konsekwencji przeprowadzić s w o j ą interpretację pokoju w Berchtesgaden. Austriaccy nazi czuliby się zdradzeni przez Hitlera — jeśliby nie udzielono im pomocy z zewnątrz. Czy jednak — może Hitler pomóc? Pomóc w tym sensie, w którym jedynie pomóc jest w stanie, to znaczy, wysyłając „bronzowe legiony"? Czy może siłą zbrojną odwetować klęskę, którą okazało się dlań Berchtesgaden?

Ogólna sytuacja międzynarodowa przemawia za tym, że w obecnym momencie zbrojna intrewencja Hitlera w Austrii byłaby zupełną klęską. Francja dała nie dwuznacznie do zrozumienia, jaką wartość posiada dla niej niepodległość Austrii, a zachowanie Anglii w żadnym razie nie może Hitlerowi dodać odwagi. Pertraktacje między Londynem a Rzymem utraciłyby podstawę, gdyby Anglia w obecnym momencie poświęciłaby Austrię.

Od półtora roku Hitler rozpaczliwie usiłuje przez jakiś nowy efekt wzmocnić swój prestige, który nie może się wyrzec periodycznie powtarzających się zwycięstw zewnętrznych, i zrealizować dalszy punkt swego programu. Tym nowym efektem ma być Austria, może być tylko Austria. Przy pierwszej próbie wyjścia poza granice Rzeszy Niemieckiej i zastosowania dla realizacji potrzeb ekspansj metody „faktów dokonanych", z powodzeniem wypróbowanej przy wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów, przy zwiększeniu siły zbrojnej i obsadzeniu Nadrenii, natknął się Hitler na opór, który tę jego próbę udaremnił. Metoda berchtesgadenowska była hitlerowska, ale nie została uwieńczona powodzeniem. „Führer" ma więc do wyboru: to powodzenie zdobyć sobie siłą zbojną albo zgodzić się na klęskę i pozwolić, by usunięci generałwie triumfowali, że ich ostrzeżenia były słuszne.

Jeśliby się jednak Hitler, pod presją sytuacji zewnętrznej zdecydował dziś na tę drugą alternatywę, dobrze będzie nie poddawać się iluzjom. Rozstrzygnięcie pierwszej fazy walki o Austrię na korzyść Schuschnigga nie oznacza jeszcze odprężenia. Hitler nie może się wyrzec Austrii, a jego dążenia do ekspansji w Europie Środkowej są raczej wszystkiem innym, niż manewrem w celu szybszego zaspospokojenia niemieckich roszczeń kolonialnych. Cała propaganda kolonialna może być ważna dla Goebelsa, który dzięki niej ma możność utrzymywać i utwierdzać naród niemiecki w przekonaniu, że nie może być lepiej, dopóki nie zostaną zaspokojone niemieckie żądania kolonialne. Dla Hitlera polityka kolonialna jest rzeczą uboczną. Na pierwszej stronie „Mein Kampf" czytamy:

Austria musi wrócić do swej wielkiej macierzy niemieckiej i to nie z jakichkolwiek względów gospodarczych. Nie, nie: Jeśliby to nawet to zjednoczenie z punktu widzenia gospodarczego było rzeczą obojętną, a nawet szkodliwą, to jednak musi ono ustąpić. Ludzie tego samego pochodzenia powinni mieć wspólne państwo. Naród niemiecki dopóty nie ma moralnego prawa do działalności kolonialno - politycznej, dopóki nie zdoła zjedoczyć swych własnych synów we wspólnym państwie. Gdy granice Rzeszy obejmą ostatniego Niemca i nie będze mu ona mogła zapewnić chleba, wtedy dopiero nędza własnego narodu rodzi moralne prawo zdobywania obcej ziemi. Pługiem jest wówczas miecz, a z łez wojny wyrasta dla potomności powszedni chleb.

Jednoznaczność, z jaką tutai podkreślone jest pierwszeństwo ekspansii w Europie Środkowei przed ekspansją kolonialną, powinna dać wiele do myślenia tym, którzy wciąż jeszcze nie widzą lub widzieć nie chca, że w ciagu pieciu lat swej władzy Hitler nie robi nic, coby miało na celu realzacii programu przedstawionego w „Mein Kampf". Program ten zaś pokrywa się zupełnie z dawnymi i najdawniejszymi planami niemieckiego imperializmu, dla którego i pod panowaniem Hohenzolernów ekspansja kolonialna była zawsze jedynie rzecza uboczną, na pierwszym planie zaś stała ekspansja na wschód i południowy wschód. Od „wiekszych Niemiec" Constantin Frantza, wielkiego przeciwnika Bismarcka, poprzez dażenia zjednoczeniowe austriackich i niemieckich wszechniemców, poprzez wyłonione podczas wojny światowej projekty „środkowo - europejskie", poprzez propagandę zjednoczeniowa lat powojennych i Schober-Curtius'owski plan unii celnej prowadzi prosta linia do „ciężkiego dnia" Berchtesgaden. Może Hitler — pod presją sytuacji w polityce zagranicznej oraz własnej słabości — przemilczy chwilowa porażkę i zaczeka z nastepnym posunięciem na moment bardziej pomyślny. Austrii się jednak nie wyrzeknie, bo sie jej wyrzec nie może. Dobrze jest dla świata, by sobie jasno zdawał z tego sprawę i wobec następnego ataku był już mniej nieprzygotowany niż wobec pierwszego, który Austria z podziwu godna siła i samodzielnością sama i bez obcej pomocy zdołała odeprzeć. Przy nastepnym ataku, którego gwałtowność zwiekszy się na skutek führerowskiej żadzy zemsty, będzie prawdopodobnie potrzebowała obcej pomocy. Jeśli sie Austrii tej pomocy udzieli, Berchtesgaden mógłby się w przyszłości tym bardziej jeszcze niż dziś okazać punktem zwrotnym w historii.

J. BLEIBERG

NACJONALIZM ZDEMASKOWANY

Nacjonalizm współczesny, którego historyczna geneza przypada na ubiegłe stulecie, wykazuje w krańcowych swych przejawach pewną cechę, stanowiącą oryginalne piętno naszego wieku. Tym jego szczególnym znamieniem jest swoiste pojmowanie narodu i państwa, poczytywanych za niezmienne, absolutne wartości, którym wszystko winno być poświęcone i podporządkowane. Istotę narodowości nacjonalizm dzisiejszy upatruje w irracjonalnych, pozadoświadczalnych, metafizycznych pierwiastkach rasy, krwi charakteru i ducha narodowego, tworzących odwieczną podstawę życia narodu i wyrażających właściwy sens jego historycznego powołania. W swym dążeniu do jego realizacji powołują się nacjonaliści na przeszłość narodu, którą przekształcają w bohaterski mit, stylizują na wspaniałą heroiczną epopeę, ignorując świadomie najelementarniejsze wymagania naukowego objektywizmu. Takie nacjonalistyczne mity posiadają dziś hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy, tworzące mocarstwową przyszłość swych narodów pod ha-

słem wskrzeszenia ich dawnej świetności i potęgi, nawrotu do czysto rodzimych źródeł narodowej kultury i tradycji, z wyłączeniem wszelkich wartości o charakterze uniwersalistycznym, ogólnoludzkim. Nie małą rolę w mitotwórczej, pseudonaukowej robocie dzisiejszego nacjonalizmu, odgraniczającego naród i państwa przepaścią megalomanii i szowinizmu, odgrywają zawsze usłużni „filozofowie", narodowi guślarze, wywołujący ducha narodowych dziejów i wyjaśniający jego intencje, plany i zamiary...

Filozofia nacjonalistyczna jest dziś, zwłaszcza w krajach anglosaskich, przedmiotem bardzo ostrej krytyki ze strony socjologów, antropologów i psychologów, demaskujących obłudę jej teoretyków i wykazujących, iż jest ona ad hoc skonstruowaną doktryną zespołem fikcji nie mających wspólnego z prawdziwą nauką. W naszej literaturze rozprawił się z „dogmatami" nacjonalistycznej ideologii prof. U. J. Zygmunt Mysłakowski w pracy p. t. Państwo a wychowanie (Nakładem „Naszej Księgarni").

Bezpośrednio celem książki jest analiza stosunku jednostki do narodowości i państwa na terenie szkoły. Zagadnienie to rozpatruje Autor w płaszczyźnie historycznych i psychologicznych rozważań, co nadaje jego pracy aspekt ogólny i czyni ją interesującą także dla szerszego ogółu czytelników. Podstawowym jej założeniem jest p s y c h o l o g i c z n a i d e a p r o s p e k t y w n e g o n a s t a w i e n i a o s o b o w o ś c i, w myśl której z n a m i e n i e m n o r m a l n e j i z d r o w e j p s y c h i k i j e s t p o s t a w a, s k i e r o w a n a k u p r z y s z ł o ś c i. Jej wyrazem jest twórczy rozmach człowieka, kształtującego świadomie warunki swego przyszłego bytowania, a interesującego się przeszłością tylko w funkcji aktualnych zadań i potrzeb. Postawa zaś r e t r o s p e k t y w n a znamionuje starość, stany wyczerpania i pewne schorzenia psychiczne, pogrążające człowieka w jałowej i bezpłodnej kontemplacji przeszłości. Analogicznie jest i ze społecznościami: twórcze społeczeństwa i żywotne kultury cechuje obfitość zainteresowań dla dnia jutrzejszego umiejętność przystosowywania się do nowych celów i sytuacji. Nastawienie zaś p a s s e i s t y c z n e (przeszłościowe) jest zawsze objawem utraty kontaktu z aktualną rzeczywistością, oznaką wyczerpania, znużenia i degeneracji. Pogląd prof. Mysłakowskiego przywodzi na myśl słowa Mickiewicza z „Ksiąg Pielgrzymstwa": Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się w tył, aby się tym lepiej rozpędzić.

Stanowisko prospektywistyczne autora, świadczące o jego trzeźwym realizmie w ocenie zjawisk życia społecznego, przejawia się we wszystkich jego poglądach i nadaje im charakter zwartej i konsekwentnej całość. Dopiero w zastosowaniu do konkretnych zagadnień nabiera ono swego właściwego znaczenia, ujawnia swą wewnętrzną dynamikę, swój głęboki, oryginalny sens.

Swą krytykę podstaw nacjonalistycznej mistyki opiera autor na e w o l u c y j n o - d y n a m i c z n e j i p s y c h o l o g i c z n e j k o n c e p c j i narodu, którą przeciwstawia koncepcji metafizycznej, o której mówiliśmy na wstępie. Odrzuca teorie upatrujące istotę narodowości w jedności rasowej, wspólnym terytorium, wspólnej religii lub organizacji państwowej. Sądzi bowiem, iż wszelkie próby wydedukowania czyjejś narodowości z ustalonego przedtem jej pojęcia, jest zgóry skazane na niepowodzenie, gdyż może się okazać, iż dana jednostka nie czyni zadość żadnemu z przyjętych kryteriów. O tym, czym ktoś jest pod względem przynależności narodowej, nie może stanowić nikt i nic prócz bezpośrednio zainteresowanego, jego wewnętrznego poczucia i świadomości. Naród bowiem jest faktem duchowym, kategorią ściśle psychologiczną, tradycją wspólnego myślenia i odczuwania. O wartości, przypisywanej przez jednostkę zasadzie narodowości decyduje stopień jej narodowego uświadomienia, poczucie łączności z pewną duchową treścią, z historią narodu, jego tradycją, obyczajowością, marzeniami i. t. p. Przynależność do narodu jest kwestią mniej lub więcej intensywnego przeżycia i dlatego cecha narodowości jest nietylko sprawą jakości, ale i stopnia. Nietylko nie jest się Polakiem, Żydem lub Francuzem, ale jest się nim więcej, lub mniej.

Logiczną konsekwencją psychologicznego pojmowania istoty narodowości jest jej charakter wybitnie dynamiczny. Jeśli naród nie jest wspólnym związkiem krwi, lecz grupą kulturalną, opartą na wspólnej historycznej tradycji, nie stanowi więc absolutnej niezmiennej wartości, lecz żywy organizm rozwijający się i zmieniający się w czasie i przestrzeni. A zatym i kultura narodowa nie jest czymś zgóry danym i określonym, posiada bowiem najróżnorodniejsze rozwojowe możliwości i dlatego żadna formułka, ani definicja nie może ogarnąć jej bogatej i wielobarwnej treści. Takie zaś terminy jak: czysta polskość, duch polski i. t. p., pozbawione są jakiejkolwiek określonej treści i używane w złej wierze są zwykłymi trickami nacjonalistycznej demagogii. „M ó w i o n o n a m w s z y s t k i m d u ż o o t y m, c z y m j e s t P o l s k a. P o k a z y w a n o j ą n a m p o d r ó ż n y m i p o s t a c i a m i. A l e j a n i e w i e m m i m o t o, c z y m o n a j e s t. W i e m, ż e m a w s o b i e j a k ą ś p e ł n o ś ć, j a k w s z y s t k o, w c z y m j e s t ż y c i e, k i e r u n e k i s e n s. I c i e s z ę s i ę, ż e ż a d n a z f o r m u ł e k, w k t ó r e t e n t w ó r z a m y k a n o, n i e o b e j m u j e g o c a ł k o w i c i e, b o j e s t o n a c z y m ś z n a c z n i e w i ę k s z y m. T o, ż e n i e o d s ł a n i a n i k o m u s w e g o o b l i c z a, a w s z y s t k i m p o z w a l a j e o d g a d y w a ć, j e s t t y l k o d o w o d e m, ż e p r z e r a s t a n a s w s z y s t k i c h i n a s z ą z d o l n o ś ć p r z e n i k a n i a. N i k t n i e m a n a d n i ą w ł a d z y, j a k z i e m i a n a l e ż y o n a d o t e g o, k t o j ą u p r a w i i r z u c i w n i ą z i a r n o:". Autor zwraca przytym uwagę, że co się konwencjonalnie rozumie przez kulturę polską nie jest kulturą całego narodu, wszystkich jego warstw społecznych, lecz kulturalną tradycją dawnej szlachty, powstałą na podłożu jej społecznej hegemonii.

Wychodząc ze swego zasadniczego stanowiska prospektywistycznego, dowodzi prof. Mysłakowski, iż wszystkie „święte" prawdy nacjonalistycznej historiozofii wyrosły na gruncie passeistycznej postawy wobec zagadnień kultury narodowej, zrodziły się ze ślepego kultu dawności, z dogmatycznego zapatrzenia w przeszłość, ujmowaną w idealizujący schemat „sarmackości", swojskości i. t. p. Są one emocjonalnymi skrótami o charakterze czysto subiektywnym i mają się tak do historycznej prawdy życia polskiego w przeszłości, jak komiczna figurka Arystotelesa, gryzmolącego coś niewprawną ręką na portalu kościoła w Chartres do wartości dorobku naukowego Stagiryty. Mistyka nacjonalistyczna, czyhająca na „ducha dziejów polskich", usiłuje na podstawie opacznie pojmowanej przeszłości, wyznaczyć zgóry przyszłość, wierzy w obiektywną ideę ducha narodowego i na tej wierze opiera swe fałszywe naiwne przekonanie, iż posiada nieomylne kryterium do rozpoznawania tego, co jest lub nie jest z nim zgodne.

Passeizm naszych „narodowych" ideologów i ich kult niewłaściwie pojmowanego tradycjonalizmu tłumaczy prof. Mysłakowski psychologiczne jako lęk przed wszelkim nowym doświadczeniem, obawę przed krytyką i rewizjonizmem, zgóry już okrzyczanymi jako „szarganie narodowych świętości". Nie zdają oni sobie sprawy, że we wszelkich światoburczych prądach, pojawiających się sporadycznie w każdej kulturze, hasło zupełnej negacji przeszłości jest tylko rewolucyjnym gestem. Najbardziej nawet radykalny prąd życia duchowego nie może zniszczyć całkowicie dziedzictwa przeszłości, może on zmienić tylko to, co już dojrzało do zmiany, zaktualizować ukryte dotychczas możliwości rozwojowe. Żadna też forma kulturalna nie może się rozwijać bez obcych wpływów i reminiscencji. Płonne więc są obawy naszych rodzimych tradycjonistów, tak mało mających zaufania do siły odpornej i przetwórczej zdolności polskiej kultury.

„I l e r a z y w i d z ę s a n h e d r y n o r t o d o k s ó w n a r o d o w y c h, p r o w a d z ą c y c h t a l m u d y c z n e s p o r y n a d t y m, c z y j a k i ś p o e t a l u b m a l a r z j e s t a b y d o s t a t e c z n i e p o l s k i, m a m m i m o w o l i o c h o t ę z a p y t a ć, c z y t a k s ł a b a j e s t t a p o l s k o ś ć, ż e t r z e b a j ą h o d o w a ć j a k e g z o t y c z n ą r o ś l i n ę w c i e p l a r n i a n y c h, o c h r o n n y c h w a r u n k a c h? C z y n i e s t a ć i n s t y n k t u p o l s k i e g o n a t ę s i ł ę, a ż e b y w c h ł o n ą ć c h o ć b y o b c e p i e r w i a s t k i i p r z e t w o r z y ć j e n a m a t e r i ę n o w e g o ż y c i a. P r z e c i e ż w s z y s t k i e w i e l k i e k u l t u r y t a k r o b i ł y i r o b i ą - t a k b y ł o w G r e c j i, R z y m i e t a k j e s t o b e c n i e w e F r a n c j i. N i e, c o w c h ł a n i a m y, t y l k o, j a k p r z e t w a r z a m y d e c y d u j e o i n d y w i d u a l n o ś c i - j e ś l i j e s t o n a n a p r a w d ę, t e n s z c z e g ó l n y j a k i ś p u r y z m j e s t z b y t e c z n y".

Obok wartości naukowej i pedagogicznej praca prof. Mysłakowskiego posiada również duże znaczenie s p o ł e c z n e. Demaskuje bowiem szkodliwe fikcje, zagrażające normalnemu rozwojowi polskiej kultury, ukazuje naukową nicość idei, które stały się zarzewi[illegible] nienawiści i nacjonalistycznej [illegible]

F. C. WEISKOPF

Nowa powieść Arnolda Zweiga

U Francuzów i Anglo-Amrykan spotykamy się ciągle z cyklami powieści społecznych (wystarczy wspomnieć tylko Rogera Martin du Gard, Jules'a Romains, Theodore'a Dreiser'a, Johna Galsworthy); we współczesnej literaturze niemieckiej natomiast ta forma epiczna reprezentowana jest rzadko. „Rzadko — niestety!" — powie czytelnik, po przeczytaniu nowej książki Arnolda Zweiga i po przypomnieniu sobie wrażeń, jakie pozostawiły poprzednie tomy cyklu, traktując o „wielkiej wojnie białych mężów."

Nowa książka nazywa się „Einsetzung eines Königs", stanowi ona według daty ukazania się czwartą, a według wewnętrznej chronologii powieści, szóstą część cyklu, przewidzianego na siedem tomów; jest więc przedostatnim ogniwem łańcucha, którego część środkowa („Junge Frau von 1914, „Erzihung vor Verdun", „Der Streit um den Sergeanten Grischa") już została napisana, a początek i koniec przyrzeka nam Zweig w „Einsetzung": zakończenie („Zu eine bessere Zeit") na pewno; początek („Aufmarsch der Jugend" i „Wahrheit und Lüge") z pewnym zastrzeżeniem, bo „nie pozwoli może teraźniejszość, żeby się cofnąć wstecz o tyle lat".

Chcielibyśmy poprosić Arnolda Zweiga, by plan swój przeprowadził do końca i do opisu wojny i jej zakończenia dołączył opis jej wybuchu. Wspaniałe przedsięwzięcie epickie zyska w ten sposób nie tylko odpowiednie podstawy i szeroki zakres, lecz także zwrot od zagadnień historycznych do aktualnych. W naszych czasach ingerencji faszystowskiej i wojen „na raty" nie ma dla antyfaszystowskiego pisarza ważniejszego i bliższego teraźniejszości tematu niż: odsłonić tajemnicę, rozciągającą się nad faktem wybuchu wojny; wskazać te siły, które chcą wojny i ją przygotowują; wyjaśnić pra-źródło tych czarów, które spokojne narody zmieniają w obozy nieprzyjacielskie, zajadle się zwalczające.

*

Wielkie powieści wojenne pisarzy niemieckich (Remarque'a, Renna, Gläsera, Frey'a, Köppena, Vrinka, Plivier'a, Johannsena i Scharrera) ograniczały się do przedstawienia wojny na froncie, bezpośrednio za frontem lub w ojczyźnie i w najlepszym razie na zakończenie dawały obraz upadku, przejścia wojny w rewolucję. Nie jedna z tych książek wskazuje na klasowy charakter wojny, przed czytelnikiem otwiera się jednakże tylko ograniczony horyzont, jaki ma przed sobą żołnierz w okopach, lekarz w punkcie opatrunkowym, robotnik w fabryce amunicji lub młodzieniec z rocznika 1902 w swym miasteczku rodzinnym.

Sposób przedstawiania wojny przez Arnolda Zweiga odróżnia od innych właśnie rozmaitość horyzontów,— że tak powiem — mnóstwo wymiarów.

Zweig opisuje front, etapy i tyły; ukazuje cały skomplikowany aparat wojny; śledzi za momentami, które wiążą gospodarkę z polityką; zapuszcza swą sondę poprzez zewnętrzne wydarzenia w sztabie głównym i w okopach, aż dociera do kierujących sił społecznych i psychologicznych; oświetla i prześwietla ze wszech stron olbrzymi organizm społeczny, jakim jest armia niemiecka, tak, że wychodzi na jaw jego wielowarstwowość, jego wewnętrzna łączność i sprzeczność.

Nadzwyczajne to zadanie epickie rozwiązane zostaje za pomocą odpowiednich środków; opis skomplikowanego organizmu społecznego i trudnych do rozwikłania stosunków społecznych zawarty jest w ramach doskonale skomponowanej fabuły, — często zajmujące, ale zawsze problematyczne — rozwiązanie (trochę w rodzaju Dos Passos) jest pominięte. Arnold Zweig na nowo więc ukazuje nam się jako jeden z najznakomitszych kontynuatorów niemieckiej tradycji powieściowej od Goethego do Fontane'a, jako epik o owym szerokim rozmachu, który zawsze i wszędzie cechował mistrzów powieści: zarówno więc Cervantes'a jak Balzaca, zarówno Dickensa jak Tolstoja.

*

Każdy z tomów cyklu, które się dotychczas ukazały, traktuje o innym miejscowym lub czasowym stapie wojny światowej; każdy opisuje inną część armii niemieckiej; każdy wysuwa na pierwszy plan inną grupę postaci.

Byliśmy w Berlinie w pierwszych dniach wojny, byliśmy na froncie zachodnim 1916—17, we wschodniej mieścinie etapowej, Merwińsku. Poznaliśmy świat żołnierzy liniowych, średnie i wyższe sztaby, intendentury i sądy wojenne.

Akcja nowej powieści rozgrywa się w 1918 r. na postoju „Oberkomando Ost". Wojna ukazuje nam się znowu z innej strony. Przeżywamy walkę o pewną już na pozór zdobycz, o Kurlandię, Litwę i Ukrainę. Na zachodzie zanosi się na klęskę, w ojczyźnie wyczerpują się ostatnie ludzkie i materialne siły oporu..., a na wschodzie snuje się intrygi, niemieckie dwory książęce walczą o tron litewski, Prusacy i Austriacy wadzą się o zboże ukraińskie z przyszłych żniw, generałowie z „Ober-Ost" pertraktują ze zbiegłymi z Rosji kolegami w sprawie interwencji zbrojnej w Moskwie i Petersburgu. O wielkim talencie Zweiga i jego dążeniach do dialektyczno - materialistycznego poznania wydarzeń historycznych świadczy zaś to, że jego poetycki opis gry panów niemieckich w 1918 r. pokrywa się z obrazem, jaki sobie odtworzyć możemy na podstawie zbioru dokumentów, który w czasie pisania powieści nie mógł być znany autorowi. („Die deutsche Okupation der Ukraine — Geheimdokumente", Editions Prometheé, Strasbourg, 1937.).

*

Arnold Zweig miał zawsze głęboki talent charakteryzowania ludzi. W żadnej powieści jednak nie przedstawił jeszcze ludzi tak po mistrzowsku w ich rozmaitym i skomplikowanym stosunku do społeczeństwa. Nigdy jeszcze czytelnik tak jasno, a tak przy tym bez przymusu nie mógł sobie uświadomić związku między myślami i postępowaniem jakiegoś indywiduum a podłożem społecznym, z którego ono wyrosło.

Przytoczmy choćby jeden jedyny przykład. W osobie starego generała-pułkownika von Lychowa Zweig charakteryzuje nam jednego z tych oficerów pruskich, którzy posiadali nie tylko zewnętrzne szlachectwo, prawdziwego rycerza; charakteryzuje go przy tym tak, że czytelnik czuje sympatię dla starego wojaka... Zweig nie kocha się jednak w swych postaciach, lecz wskazuje również granice ich szlachectwa i rycerskości, a granice te uwarunkowane są stanowiskiem społecznym Lychowa, jego pozycją klasową. Niema jednak mowy o wysuwaniu jakiejś tezy, gdyż to wynika „samo przez się" z postępowania i myśli postaci. Gdy więc stary Lychow ratuje młodego oficera, przenosząc go z okopów na stanowisko adiutanta w sztabie, uważa, że to jest słuszne i zupełnie w porządku, gdyż winien to jest jego ojcu. Z oczu młodzieńca patrzy „rodzina, stara rodzina, której dobra przylegały do moich". Rozwiązał tu Zweig trudne zadanie, stosując socjalizm w poezji i nadając mu przez to ogromne znaczenie. W przekładzie na język socjalistycznego socjologa, poetycki opis postępowania Lychowa i pobudek, jakie nim powodowały, będzie opiewał, że nawet u wielce szlachetnego człowieka, typu Lychowa społeczne stanowisko junkra w końcu bierze górę nad poczuciem obowiązku rycerskiego.

*

Już dzięki „„Erzihung vor Verdun" Arnold Zweig odnowił tradycję powieści niemieckiej, pisząc powieść wychowawczą. „Einsetzung eines Königs" należy również do tego gatunku.

Głównym przedmiotem wychowania nie jest w tym tomie pisarz Bertin, chociaż i on także robi duże postępy w poznawaniu świata (przy czytaniu „zakazanych książek", m. inn. „Ognia" Barbusse'a, ukazuje mu się prawdziwy charakter wojny i „wspólne zadanie szukania wyjścia z tej rzeźni, która zwie się zorganizowanym społeczeństwem, pełnym sensu współżycia, braterstwem.").

Głównym przedmiotem wychowania jest kapitan Winfried, którego już znamy z „Griszy". Winfried jest „mieszczańskim młodzieńcem", który całą swoją młodość oddał do dyspozycji kaście wojowników, by bronić ojczyzny i jej poglądów. Ale kasta ta pochłonęła jego i całą młodzież niemiecką, bo nie potrafiła nic lepszego. Dziesiątki tysięcy ochotników już w okresie przeszkolenia ujrzało swój straszny błąd, nie mogło jednak wyrazić przerażeniu, bo grzęzło w błotach rozległych terenów walki. „Cierpliwi, Winfriedowie, przyzwyczajali się, czekali na lepsze czasy, na pokój, na odbudowanie życia." Podczas tego czekania Winfried wypełnia swoje obowiązki oficerskie. Uważa wojnę za rodzaj nieuniknionej katastrofy w naturze, którą należy przetrwać w miarę powinności najdzielniej i najlepiej. Nie, że wojna zawiera w sobie nieprawdopodobnie dużo krzywdy, bólu i grozy; jest jednak przekonany, że strona, po której walczy, ma czyste sumienie i nienaruszoną cześć. Dopiero własne przeżycia w obozie pracy dla litewskich i żydowskich więźniów cywilnych (gdzie Winfried został osadzony na kilka dni na skutek nieporozumienia i intrygi nieżyczliwych kolegów) pouczają go o tym, że „pod uporządkowaną rzeczywistością niemiecką, pod tym światem surowych pojęć o prawości i żołnierskiego ładu w duchu staropruskim" istnieje „podziemie nieprawości, dzikości i samowolnego wyzysku słabych". Istnieje świat „pełen szyderczej przemocy, który z bezbronnym urąganiem i bezprawiem, którego się dopuszcza na więźniach, raczy się jak „sznapsem". To doświadczenie otwiera oczy Winfriedowi, zaczyna więc inaczej patrzeć na wojnę, wojsko i świat. Spostrzega — i to już budzi w nim zaciętość i upór, — że „mniejszość prostaków i gałganów może przewodzić pułkowi, podczas gdy większość porządnych, i w tym obozie też większoć, nie waży się protestować inaczej niż przez zamykanie oczu" na to, co się dzieje. Winfried sam czuje się jednak jeszcze związany ze swoją służbą, z kolegami — oficerami, przede wszystkim z fascynującym generałem Claussem... dopóki się nie przekonywa, że właśnie ten ubóstwiany przełożony igrał nim i zaprzedał go intryganckiej kamaryli. Teraz dochodzi do zerwania z dotychczasowymi ideałami i poglądami. Winfried staje przed generałem i rzuca mu w twarz swoje oburzenie: kiedy ojczyzna zataczała się już pod nadmiernym ciężarem, a ojciec dawał mu przestrogi, przystąpił do generała Claussa.., Ale teraz czar prysł..., a ze snów młodości pozostało to, że jesteście kosztownym luksusem, denerwującym i niebezpiecznym, i pojęcia nie macie o tym, co niweczycie w swoich grach. Czy wy macie prawo, by kogoś karać? Nie rozumiecie przecie najprostszej rzeczy, że miliony cywilów bronią waszej ojczyzny, podczas gdy wy pozbawiacie ją wszystkiego, co jest godne obrony". A gdy generał chce go uspokoić (gdyż coś zaczyna już trzeszczeć w gmachu armii i „na horyzoncie ukazuje się niebezpieczeństwo, z którego przed trzema miesiącami jeszcze się śmiał", niebezpieczeństwo rewolucji niemieckiej), Winfried nie chce pojednania i robi decydujący krok od poznawania i oburzania się do zajęcia odpowiedniego stanowiska: ponieważ go wydali na pastwę pluskiew i wszy, przy pluskwach i wszach pozostanie i przejdzie do równych sobie, do łazików, którzy też z nimi zawsze musieli walczyć.

„Winfried przesiada się" — brzmi tytuł tej, ostatniej, części powieści i chociaż jeszcze później następuje opis śmierci generała Claussa, ta scena stanowi właściwe zakończenie powieści. Jaka będzie trasa podróży Winfrieda po przesiadce — dowiemy się z zapowiedzianego już ostatniego cyklu. Droga, jaką Arnold Zweig szedł dotychczas, daje nam już dziś rękojmię, że jego Winfriedowie i Bertinowie właściwie się przesiedli i pojadą dalej w odpowiedn[illegible] kierunku.

STER MŁODYCH

„...GMIN ZNIKCZEMNIONY ZAWSZE MA SKŁONNOŚĆ DO OKRUCIEŃSTWA, LUBI WIDOWISKA KRWAWE..., NIEZDOLNY JEST POJMOWAĆ INNEJ SIŁY PRÓCZ NISZCZĄCEJ..“
(Adam Mickiewicz)

S. STRELCYN

ZA KULISAMI „HABIMY“

(Wywiad z M. Gnesinem)

Wyznać muszę, że się tym razem nieswojo czuję, wchodząc za kulisy teatru. Mam za chwilę poznać jednego z twórców zadziwiającej swoim dorobkiem placówki artystycznej, jednego z najstarszych aktorów „Habimy“.

Mijam korytarz, w którym pod ścianami stoją ogromne skrzynie z napisami: „Dybuk“, „Uriel Akosta“ — miejsce na kostiumy, i rekwizyty. Przed oczyma staje mi sylwetka Menaszego Vanderstraten*), przesłania ją po chwili brodata twarz Senedera...**)

Stoję już na progu pokoju. Za biurkiem siedzi dyrektor, przed nim gładko wygolony człowiek wzrostu więcej niż średniego nad paczką listów. Poznaję znaczki palestyńskie i niebieskie nalepki „Air Mail“. To p. Gnesin.

— Szalom, adoni!***)

— Szalom — odpowiada nie odwracając się pochylony człowiek — rega*)

Po chwili wita ze mną. Przypominam telefoniczną rozmowę. Pamięta. Rozmawia ze mną, a jednak czuję, że jest stąd daleko, nie narzucam się, więc i czekam bez słowa.

Już boczny pokój otwarty. Wchodzimy. P. Gnesin przekłada jeszcze kilka drobiazgów, prosi mnie następnie do zajęcia, jedynego w pokoju, krzesła, wreszcie zwraca się do mnie (tym razem czuję, że rzeczywiście do mnie mówi) z uprzejmym zapewnieniem:

— Teraz jestem już do pańskiej dyspozycji!

Na wstępie stawiam pytanie, na które od dłuższego czasu szukam odpowiedzi:

— „Habima“ była ostatnio w Polsce przed ośmiu laty. Przez ten okres czasu warunki nasze uległy wielkim zmianom, a to odbiło się bez wątpienia na naszej psychice. Czy Wy, aktorzy, na scenie wyczuwacie zmianę tę z reakcji publiczności?

Spoglądam na mego rozmówcę i poznaję, że pytanie krępuje go nieco.

Postawił pan bardzo drażliwe pytanie. Zmianę w psychice wyczuć potrafi każdy, „Dybuk“ Ańskiego.

***a Dzień dobry Panu!

Dzień dobry — za chwilę!

cóż dopiero, aktor, który musi posiadać tak żywy kontakt z widzem... Myśmy się nawet zastanawiali czy wobec tego wszystkiego powinniśmy tu przyjechać...

— Sądzę jednak, że przyjazdu do nas nie żałujecie, skoro widzicie jakie to dla nas święto...

— Pan mówi o święcie. Przecież to, że tu jesteśmy jest dla nas chyba większym świętem. Tu się przecież „Habima“ urodziła. Wszak długo jeszcze przed moskiewskim okresem przed Stanisławskiego, tu zacząłem pracować na Rymarskiej 12... Gdy tu jesteśmy czujemy się prawie jak u siebie w domu.

— „Habima“ —ciągnę — jest już sześć miesięcy w objeździe, byliście już w krajach Zachodniej Europy, czy tam Was inaczej przyjmowano?

— Widzi pan, między przyjęciem paryskim dajmy na to, a przyjęciem warszawskim zachodzi zasadnicza różnica: tam przyjmują nas bardziej po europejsku, tu serdeczniej, bardziej... po żydowsku.

— Czym kierowała się „Habima“ przy wyborze repertuaru, który nam przywozi?

— Przede wszystkim wymaganiami, jakie nam stawiają. Wymagają od nas pewnej egzotyki. W repertuarze naszym, wystawianym w Palestynie mamy powyżej 40. sztuk wszystkich nie mogliśmy wszak przywieźć. Dajemy najlepsze. Zresztą widzimy, że ten właśnie repertuar jest pożądany. Gdybyśmy, naprzykład bawili w takim Kownie choćby 4 miesiące, „jedliby nas“ i 4 miesiące... — mówi p. Gnesin z uśmiechem.

P. Gnesin siada i zapala papierosa. Po chwili ciągnie dalej:

— Prez te 6 miesięcy podróży nasłuchaliśmy się wiele o naszych walorach artystycznych i to od ludzi najkompetentniejszych. Weźmy choćby Gastona Baty, znakomitego reżysera, który opuścił niedawno „Commedie Francaise“. Jak entuzjastycznie się o naszej grze wyraża! Zaczynamy już prawie sami wierzyć w to, że przedstawiamy sobą coś naprawdę wartościowego. Dlatego też bardziej jeszcze dbać musimy o poziom naszej pracy, z większą jeszcze ostrożnością musimy wystawiać.

— Czy „Habima“ zamierza dać jedno choćby przedstawienie dla młodzieży? Ona właśnie stanowi przecież publiczność najwdzięczniejszą, najżywiej reagującą, zresztą młodzież nigdy Was nie widziała.

— Owszem, chcielibyśmy. Zwracały się nawet do nas w tej sprawie różne organizacje, m. inn. „Tarbut“. Jest jednak niemożliwością prawie. Gramy 9 razy w tygodniu. To przedstawienie miałoby być dziesiąte. Uginamy się wprost pod ciężarem pracy.

— Czy w Palestynie urządza „Habima“ przedstawienia dla młodzieży? pytam dalej.

— Oczywiście. Naogół młodzież starsza przychodzi do teatru wieczorem, dla młodszych jednak urządzamy w piątki po południu specjalne widowiska.

— Jaki jest repertuar tych przedstawień?

— „Wieczny Żyd“... „Dybuk“ z repertuaru żydowskiego, oraz wiele innych sztuk. Molier cieszy się wielkim powodzeniem, dajemy „Świętoszka“, „Chorego z urojenia“.

— Czy program tych przedstawień ustala „Habima“ w porozumieniu z władzami szkolnymi?

— Nie. Jeżeli przygotowane przedstawienie zdaniem władz szkolnych nadaje się dla młodzieży, urządza się specjalne popołudniówki.

— Nawet dużo. W każdej szkole pracuje instruktor, pod kierunkiem którego organizuje się 2-3 przedstawienia rocznie.

— A, jak ma się ta sprawa w koloniach?

— Do wszystkich kolonii w Emeku przyjeżdżamy raz na 4-6 tygodni. Mamy tysiączne rzesze widzów. Trudno sobie wprost wyobrazić, jak nas tam podejmują. Przyjazd nasz jest tam świętem stokroć większym, aniżeli w Warszawie, lub Paryżu.

— Czy widzowie są w Palestynie zorganizowani? Jaki element przeważa wśród widzów?

— Nie, widzowie w mieście nie są zorganizowani, każdy przychodzi do teatru, kiedy ma ochotę. Do teatru uczęszczają w Palestynie wszyscy. Emigranci z Europy wychowani są w teatrze, to też stawiają go na pierwszym planie. „Chazon, w'acharkach lechem“*).

— Czń wytworzył się już hebrajski repertuar teatralny? Czy istnieją zdolni, młodzi dramatopisarze? O ile mi wiadomo z doświadczenia warszawskiego Hebrajskiego Studia Teatralnego, hebrajskich sztuk prawie nie ma.

— Stałego hebrajskiego repertuaru rzeczywiście nie ma jeszcze. Zjawi się on wraz ze stabilizacją życia. Dziś jest jeszcze ono nieustalone, to, co wczoraj było aktualne, dziś należy do przeszłości.

— Czy „Habima“ przyjmuje nowe siły aktorskie? Na jakiej podstawie je przyjmuję?

— Tak. W zespole naszym, którzy liczy obecnie 28 osób, mamy kilku nowych aktorów. Przyjmuje się ich na podstawie egzaminu.

— Czy istnieje studio teatralne, lub szkoła przy „Habinie“?

— Dotychczas nie istniało nic podobnego, a to z braku odpowiedniego pomieszczenia. Niedługo jednak ukończona zostanie budowa naszego gmachu, tam będą już specjalne sale szkolne. Przyjmować będziemy kandydatów, oczywiście na podstawie egzaminów, jednak nie tak pobieżnych, jak to się często praktykuje w różnych szkołach dramatycznych. Egzamin nasz trwać będzie kilka miesięcy. Musimy kandydata poznać zarówno przy pracy, jak i w czasie wolnym od zajęć.

— Może zechce mi Pan opowiedzieć coś o życiu aktorów „Habimy“ w czasie normalnej pracy. Czy mieszkacie razem? Czy stale ze sobą przebywacie?

— Wszystko co mogę panu na ten temat powiedzieć, to to, że pracujemy dużo, ile nam tylko sił starczy. Nie mieszkamy razem, spotykamy się jednak w teatrze, a ponieważ wiele tu godzin spędzamy — żyjemy razem.

Pragnąłbym się jeszcze tylu rzeczy dowiedzieć, o tyle spraw zapytać, cóż jednak? Czas ucieka. W pokoju zaczynają się zbierać aktorzy. Nie mogę już p. Gnesinowi zabierać więcej czasu, nie wystawiając na szwank jego wielkiej cierpliwości i uprzejmości.

Żegnam p. Gnesina, dziękując gorąco w imieniu czytelników i własnym.

*) Menasze Vanderstraten, ojciec Judyty z „Uriela Akosty“ Gutzkowa.

**) Ojciec Lei z legendy dramatycznej

*) (Najpierw) wizja, po tym chleb.

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja XIX.

NINETEENTH LESSON
(Najntints lesn)
ALADDIN AND THE LAMP*)
III.

Then the wizard gave Aladdin a ring. He said, „Take this ring. There are giants in that hole; they want to kill you. You have this ring and they cannot kill you. The ring will save you from the giants.“ Aladdin took the ring.

(to be continued)

VOCABULARY

Then (dzen) = wtedy; wkrótce; potem
The ring (ring) = pierścionek; obręcz; arena (bokserska)
The giant (dź AJent) = olbrzym
To kill (kill) = zabić (Regular Verb)
Cannot (kEnnot) = nie mogą! III osoba liczby mnogiej
(Patrz wskazówki w XVI lekcji w dziale „ „VOCABULARY“)
to save (tu sejw) = ocalić, zbawić Reg. Verb.)
Pierwsze słowa hymnu angielskiego: „GOD SAVE THE KING“ („Boże zbaw króla“)
„S. O. S.“ skrót od „SAVE OUR SOULS“ (sejw aur souls) = „Ocal nasze dusze“. Sygnał wysyłany przez tonące okręty.
from (from) = od; z

Początek „Aladdin and the Lamp“ w Nr 6 (52) „Steru Młodych“ Dalyszy ciąg w Nr, Nr 7 i 8.

Odnowimy Drugą Świętynię

(rozmowa z twórcą modelu „Drugiej Świątyni“)

„Jak długo stała świątynia, odkupiał ołtarz przestępstwa ludzkie; dziś, gdy już nie ma świątyni, służy za pokutę stół pokutę stół dobrego człowieka, który nakarmia ubogich“.
(Raszi do Menachot 97a).

Rozmówcą naszym jest 64-letni Henoch Wajntraub, rodem z Radomska, z zawodu kupiec: ściśle właściciel straganu, o który tak „bohatersko“ walczą różne endoenery. Pan Wajntraub odwiedził mnie w prywatnym mieszkaniu. Zdziwiłem się niezmiernie, gdy usłyszałem z ust bogobojnego starca, że „ma interes do redaktora Steru Młodych“. Początkowo sądziłem, że to zwykłe nieporozumienie. Wkrótce jednak przekonałem się, że mój interlokutor wie czego chce.

— Panie redaktorze — rozpoczął mój niezwykły interesant — słyszałem, że pan jest nauczycielem i dziennikarzem w jednej osobie. Więc przyszedłem pana prosić o pomoc w pewnej sprawie. Proszę mnie wysłuchać, a potem powiedzieć czy pan mi może dopomóc?

Jestem biednym żydem z prowincji — zaczął swe ciekawe wynurzenia p. Henoch Wajntraub — urodziłem się w Noworadomsku (dziś go ludzie nazywają „Radomskiem“). Gdy miałem lat 13, uciekłem od rodziców do jeszybotu w Warcie kaliskiej, gdzie rozpocząłem nauki talmudyczne u rabina Majera-Dona Płockiego. Tam uczyłem się dwa lata, poczem z powodu nędzy, w jakiej się znalazłem, zmuszony zostałem powrócić do rodziców, którzy w międzyczasie przenieśli się do Łodzi.

Było to w roku 1907, pamiętnym roku po rewolucji rosyjskiej. Niespokojne to były czasy. Bomby, strajki, aresztowania, ponure egzekucje, walki z robotnikami. W takich burzliwych czasach trudno było o zarobek nawet na „suchy kawałek chleba“. „Ale głód nie jest ciotką“ — powiadają Rosjanie — musiałem się rozejrzeć za byle jaką pracą. Znalazłem ją w warsztacie tkackim. Od rana do późnej nocy nie wypuszczałem czółenka z ręki, snując wielobarwne tkaniny dla bogatszych od siebie ludzi.

W tym właśnie czasie zacząłem się zastanawiać nad sprawami religijnymi. Moja dwuletnia nauka u rabina Majera Dona Płockiego nie dała mi spokoju! Leżąc w łóżku z otwartymi oczyma wciąż marzyłem o zamierzchłych i świetnych czasach, kiedy żydzi byli potężni, kiedy mieli własną świątynię. Ta Świątynia stała się moją fantazją. Wciąż myślałem o niej. Często w nocy otwierałem święte księgi i czytałem jakto dawniej było, a zwłaszcza lubiłem zagłębiać się w księgach, gdzie znajdowały się opisy Świątyni Jarozolimskiej.

Pewnego dnia w wolnej chwili, maistrując kozikiem, wpadł mi pomajstrując kozikiem, wpadł mi po,zbudować własnymi rękami z drzewa. Oczywiście, że miałem na myśli model tej świątyni. A trzeba panu redaktorowi wiedzieć, że domorosłym snycerzem byłem już od najmłodszych lat. Wycinałem więc z drzewa rozmaite drobiazgi, które cieszyły się powodzeniem u wielu najbliższych sąsiadów.

W tajemnicy przed żoną rozpocząłem swą żmudną pracę po nocach. Nie wiem, czy pan redaktor mi uwierzy, ale praca ta trwała bez przerwy w ciągu SIEDMIU LAT. Mój gotowy model przedstawiał Drugą Świątynię Jerozolimską t. zw. Herodianską“.

Pokazałem go znawcom. Byli zachwyceni. Zaproponowali mi, abym model Świątyni wystawił na widok publiczny. Znaleźli się nawet chętni przedsiębiorcy, którzy urządzili specjalnie dla mego modelu wystawę. (Mieściła się ona w Łodzi w Sali Angielskiej przy ul. Wólczańskiej 5) Powodzenie wystawy było wielkie.

Tymczasem na horyzoncie światowym ukazały się groźne chmury. Rok 1914. Wielka wojna światowa. Musiałem więc czym prędzej uciekać do Warszawy ze swoim modelem, gdyż Niemcy zbliżali się szybko do Łodzi. W Warszawie zaczęły się się ciężkie czasy dla mnie. Nikt nie chciał mnie słuchać, nikt nie chciał oglądać modelu Drugiej Świątyni. Na ulicach stolicy ginęli ludzie od bomb, rzucanych przez niemieckich lotników, mieszkańcy Warszawy kryli się w piwnicach. Zaczęła się walka o zdobycie bochenka chleba i trochę opału. W takich czasach musiałem się tułać z owocem mojej siedmioletniej pracy po różnych łaskawie zaofiarowanych mi lokalach. Te przeprowadzki zniszczyły doszczętnie moją „Świątynię“ i wkrótce zamiast pięknego modelu, miałem już tylko szczątki w postaci oddzielnych deseczek, drutów itp.

W Łodzi znalazłem się znów w roku 1915, gdy Warszawę zajęli Niemcy. Zniechęcony i złamany na duchu wróciłem do „szpulowania nici do szycia“. Tu naprzemian trochę „szpulowałem“ trochę tkałem na warsztacie. Ale „zburzona przez wojnę światową świątynia“ nie dała mi spokoju. Postanowiłem opuścić zadymioną i zgiełkliwą Łódź, która żadnego uznania dla sztuki mieć wtedy nie chciała.

Następnie przeniosłem się do Zagórowa, skąd wezwany zostałem w roku 1928 przez błp. Rabina Meira Szapirę, twórcę Jeszywy Lubelskiej, do Lublina, aby zająć się sprzedażą reprodukcji mojego pierwszego modelu, z którego drzeworyt zrobił Polak Hankiewicz, drzeworytnik z Warszawy. Czysty dochód z tego wydawnictwa miał pójść na cele budowy Jeszywy.

Przy sposobności zapytał mnie Rabin Szapiro, czy podjąłbym się zbudować dla Jeszywy model Drugiej Świątyni z czasów Heroda.

Odpowiedziałem bez namysłu, że tak.

W ciągu dwóch lat pracując po 18 godzin na dobę, wykonałem miniaturę Drugiej Świątyni.

Ma ona w długośc 6 i pół metrów, a w szerokości 3 i pół metra (Lubelski model został wykonany w skali 1 i pół centymetra za 1 łokieć). Za pracę tę uzyskałem 550 dolarów i 2 lata bezpłatnego utrzymania w Jeszywie. Tu model mój oglądali wyżsi duchowni różnych wyznań. Wojewoda lubelski, Remiszewski, bardzo miły i sympatyczny człowiek, wyraził zachwyt i swoje uznanie. Ponieważ znaleźli się sceptycy, którzy niezupełnie zgadzali się z moim modelem złożyłem w Jeszywie Lubelskiej w depozycie 500 zł. ofiarując każdemu, kto mi udowodni naukowo, że Świątynia wyglądała inaczej. Do dnia dzisiejszego nie znalazł się właściwy krytyk.

U schyłku swego spracowanego żywota postanowiłem po raz ostatni zrobić trzeci (a chyba i ostatni) model wspomnianej Śwątyni. Model ten zrekonstruowałem w ciągu lat 5, ale już w zmniejszonej skali (cały model ma 3 metry x 2 metry) 1 centymetr za 1 łokieć.

Mam ten model w Słupcy w domu. Początkowo miałem zamiar z nim objechać różne ośrodki życia kulturalnego żydowskiego. Chciałem go pokazać przede wszystkim młodzieży.

Nie wiem jednak czy to mi się uda.

Jestem już stary, samotny. Nogi odmawiają posłuszeństwa, a szkoły żydowskie mieszczą się tak wysoko (mowa tu była o warszawskich szkołach żydowskich, które dziwnym zbiegiem okoliczności znajdują się na wysokich piętrach). Nie mam sił, a żyć trzeba. Zwracam się więc za pośrednictwem pana redaktora do ludzi dobrej woli, a zwłaszcza do zamożnych obywateli, muzeów, bibliotek. Kupcie ode mnie ten mały model, drogi każdemu sercu żydowskiemu. Żądam zań 1000 złotych. Coprawda modelem tym zainteresował się już Dyr. Biblioteki Judaistycznej p. D. Folman, który przyrzekł mi poparcie w tej sprawie.

Byłbym nawet skłonny przyjąć od poważnej instytucji 300 złotych tytułem kosztów odnowienia modelu, oraz dochody z biletów w ciągu 3 miesięcy, poczym model przeszedłby na własność tej instytucji — skończył swą prośbę Henoch Wajntraub.

Na pytanie postawione na początku tej rozmowy niech odpowiedzą wszyscy chętni. Dopomóżcie staremu i utalentowanemu rekonstruktorowi modelu Drugiej Świątyni i nie pozwólcie aby zmarniał mu owoc jego długoletniej pracy, jak pierwsze jego dzieło w czasie wielkiej wojny światowej.

Pan Henoch Wajntraub zasługuje na spokojną starość.

Rozmowę przeprowadził

N. JACOBI

Redaktor „STERU MŁODYCH N. JACOBI.

Adres dla korespondencji: „STER MŁODYCH“, Warszawa, ul. Chłodna 17

J. LESER

„URIEL ACOSTA“ W HABIMIE

„Uriel Acosta“ — sztuka w 3 aktach i sześciu obrazach wdeług Karola Gutzkowa.

Pisać o „Habimie“ w recenzenckich superlatywach byłoby profanującym „Habimę“ truizmem. „Habima“ nie potrzebuje zdawkowych pochwał. Powaga pierwszej narodowej sceny hebrajskiej jest tego rodzaju, że naprawdę należy wybierać z pośród rzucających się pod pióro słów podziwu, aby użyć najbardziej odpowiednich dla tego, z takim artystycznym mozołem zbudowego teartu. Kto zna historię „Habimy“, kto zna martyrologię, tej na początku szczupłej garstki zapaleńców sceny hebrajskiej, temu naprawdę trudno uderzyć w odpowiedni ton. Habimowcy to nie aktorzy, traktujący swoją sztukę aktorską, jako zawód, to raczej kapłani, dzierżący w swym ręku świętą misję renesansu żydowskiego teatru, to artyści, dla których scena była i jest celem samym w sobie. Bije od nich powaga i ekstaza, jakie może z siebie emanować tylko prawdziwa sztuka, uprawiana przez artystów z powołania.

„Uriel Acosta“ nie należał do moskiewskiego repertuaru „Habimy“. Sztuką tą wzbogacili habimowcy swój repertuar dopiero w latach ostatnich. Poznać to zresztą po sposobie interpretacji całości spektaklu. Przy groteskowym ujęciu niektórych postaci, poszczególne sceny potraktowane zostały realistycznie. Jest to jednak realizm odcinający się bardzo od realizmu, panującego na scenach europejskich. Tu koncepcja reżyserska zaciążyła nad koncepcją autora. Granowski spreparował sztukę Gutzkowa odpowiednio do swego pomysłu reżyserskiego, stwarzając oryginalną syntezę tragedii i groteski.

„Uriel Acosta“ to tragedia, która około sto lat temu przysporzyła autorowi wiele sławy. Jak wiadomo, należał Karol Gutzkow do najpłodniejszych pisarzy niemieckich 19. wieku. Napisał on obok welu rozpraw krytycznych i polemicznych sporo sztuk teatralnych a między innymi biblijną sztukę p. t. „Król Saul“. Minęły one jednak wszystkie bez większego echa. Dopiero „Uriel Acosta“ osiągnął niezliczoną ilość przedstawień. Przetłumaczono sztukę tę prawie na wszystkie języki europejskie i grano na wszystkich większych scenach Europy. Cenzura niemiecka która prześladowała Gutzkowa za ostrą satyrę przeciwko papiestwu p. t. „Historia pewnego Boga“, tym razem okazała się łaskawsza, ponieważ chodziło o fanatyzm religii żydowskiej. Był to pewnego rodzaju wybieg szermierza liberalizmu i tolerancji Gutzkowa.

„Uriel Acosta“ należał jeszcze do niedawna do żelaznego repertuaru każdego szanującego się teatru. Sztuka ta tematycznie posiadała w sobie dość elementu fascynującej atrakcji. Obecnie jednak fanatyzm religijny ustąpił miejsca fanatymowi politycznemu, prześladowania religijne zostały wyrugowane przez prześladowania polityczne. Religia nie rozporządza więcej dawnymi środkami represji względem odszczepieńców Przejął je doktrynerski fanatyzm polityczny i dlatego „Uriel Acosta“ w dawnej realistycznej interpretacji, nie potrafiłaby wywołać u widza odpowiedniej atomsfery uczuć. Granowski w pewnym stopniu sparodiował Gutzkowa, sparodiował te momenty, które trącą anachronizmem: przedstawił w świetle groteski postacie i momenty, związane z wyklęciem, z ekskomuniką Acosty, wydobywając równocześnie z wątka miłosnego Uriel—Judyta mocne akcenty tragiczne odpowiednio teatralnie wystylizowane.

Gra aktorska „Habimy“ oparta na systemie zespołowym, doprowadzona została dzięki specyficznym warunkom panującym w kolektywie „Habimy“ do prefekcji, która może służyć za wzór nie tylko teatrom żydowskim. Jest to gra zespołowa, która bez przesady zasługuje na to, by ją nazwać idealną. Zespół „Habimy“ nie zna podziału na gwiazdorów i nie-gwiazdorów. Każdy poszczególny aktor jest tu precyzyjnie funkcjonującym kółkiem ogólnego mechanizmu. I w „Urielu Acoście“ ta świetna gra zespołowa w całej okazałości występuje. Wyraża się to przede wszystkim w wewnętrznej surowej dyscyplinie aktorskiej habimowców, która sprawia, że każdy z nich przy pełnym zachowaniu swego indywidualnego oblicza potrafi się dostroić do ogólnej, z góry przez reżysera narzuconej koncepcji inscenizacyjnej. Zespół „Habimy“ to idealny materiał aktorski w ręku twórczego reżysera.

Rowina w roli Judyty fascynowała widownię majestatem swej postaci. Rowina to indywidualność aktorska, która poprzez umiar, i aż do ascezy doprowadzonego opanowania ruchu i gestu dochodzi do najwyższych szczytów scenicznej ekspresji. Nie ma u niej nic przypadkowego, wszystko jest artystycznie przemyślane, a raczej intuicyjnie wyczute. Każde najdrobniejsze jej poruszenie się na scenie posiada swoją wymowę. Na szczególne wyróżnienie zasługuje Z. Friedland, który świetnie odtworzył na pół groteskową postać Dr da Silva. W rolach rabinów von Emdena i de Santos wystąpili A. Meskin i J. Bertonow. Uriela Acostę grał. H. Warszawer. Oryginalne ujęcie postaci rabi Akiby dał nam Z. Ben Chaim. Jest naprawdę zbyteczne wymieniać każdą rolę z osobna. Cały zespół, w którym figurują jeszcze nazwiska: Szein, Finkiel, Czemeriński, Beniamini, Bronk, Baratz, Gnesin, Gowińska Judelewcz Kutai, Hendler, Robbins, Lubicz, Duer i Klackin, grał bez zastrzeżeń.

O dekoracjach i kostiumach, należałoby napisać osobną recenzję. Powinien to uczynić powołany do tego krytyk malarski. Nic dziwnego, że na wystawie paryskiej uzyskali habimowcy za ten wyczyn artystyczny I. nagrodę.

J. ERNICZ-HOMAŃSKA

Recenzje muzyczne

PROGRAMY: MUZYKA KLASYCZNA A NOWOCZESNA.
DYRYGENCI: J. HORENSTEIN, IGOR MARKIEWICZ, EMIL COOPER, FLORA MOULAERT-MAAS.

Z programów koncertów filharmonicznych od dłuższego czasu jasno widać, że dyrekcja Filharmoii stara się łączyć repertuar klasyczny z nowoczesnym.

Słuszna to i godna uznania tendencja. Bowiem jeżeli chodzi o dzieła nowoczesne, to któż jak nie Filharmonia — jako jedyna od lat stała placówka symfoniczna w Polsce — może próbować zaaklimatyzować w naszej publiczności dzieła nowsze? I kto, jeśli nie Filharmonia, ma przeprowadzać przez filtr naszej opinii publicznej dzieła najnowsze, dotąd jeszcze niewykonywane?

Zaś wiadomo, że urządzanie koncertów, całkowicie poświęconych „nowej“ muzyce — daje zawsze... puste sale. Publiczność, owa „właściwa“ publiczność, t. j. ludzie płacący za normalne bilety wejścia, stroni od tego rodzaju koncertów w obawie przed muzyką, którą potocznie nazwano „modernistyczną“, rozumiejąc pod nazwą „modernizmu“ kakofonię i chaos dźwiękowy.

Dlatego też najlepszym rozwiązaniem tego zagadnienia programowego jest przeplatanie w ramach każdego koncertu dzieł klasycznych z nowoczesnymi.

Mamy więc stale możność obserwowania, jaki jest rezultat takiego zestawienia. A mianowicie daje ono nieomal każdorazowo asumpt do ponownego stwierdzenia, że nieśmiertelni geniusze, jak Bach, Mozart, Beethoven, Brahms, przemawiają do słuchacza z ducha swej muzyki siłą pierwiastków ściśle muzycznych, bez pomocy jakichkolwiek programów czy skojarzeń z tematyką zapożyczoną z innych dziedzin.

Mieli oni bowiem takie bogactwa inwencji i taką obfitość pomysłów, że potrafili wypełnić ramy olbrzymiej ilości potężnych opusów treścią t. zw. „muzyki absolutnej“, opartej na elementach ściśle muzycznych, nie strojąc jej w przeszczepione z innych zakresów piórka, które często wprawdzie narazie wywierają efekt przekonywujący, lecz w perspektywie czasu opadają, odsłaniają braki samego przędziwa muzycznego, braki nie dające się wówczas już niczym zamaskować.

Bo czas, najsprawiedliwszy sędzia w sprawach twórczości, kpi sobie z wszelkich konwenansów, Dopiero po latach wyrównuje się chwała twórców odpowiednio do istotnej wartości ich dzieł. Prawdziwe piękno z biegiem czasu tryumfuje coraz wyraźniej, opromieniając coraz większą czcią imiona jednych twórców, spychając za to innych w niepamięć — często naprzekór opinii współczesnych.

Zwłaszcza jeśli taka grupa współczesnych, kierując się względami całkiem ubocznym i obiera sobie kompozytora — faworyta i wmawia sobie i drugim, że trzeba uwierzyć w proroctwo tego kompozytora — a wszystko to nie z własnego głębokiego przekonania, lecz bądź ze względu na pewne korzyści osobiste, jak np. ułatwienia w t.z w. karierze artysty, bądź przez snobizm „bo inni przecież tak mówią“,

I tak np. na jednym z ostatnich koncertów piątkowych, pod dyrekcją Jaschy Horensteina, obok nieśmiertelnej symfonii Es-dur Mozarta wykonano: opartą na folklorze góralskim symfonię „concertante“ na fortepian i orkiestrę Karola Szymanowskiego (ze Zbigniewem Drzewieckim jako solistą), suitę z „Ognistego ptaka“ Strawińskiego, oraz bajeczki „Ma mére l‘Qye“ Ravela, które przypaść mogą do gustu zwlaszcza wtedy jeśli się pamięta program literacki wskazany przez tytuły poszczególnych bajeczek — bowiem utwór ten, napisany przez Ravela pierwotnie na fortepian, następnie przez niego lekko i dowcipnie zinstrumentowany na orkiestrę, skomponowany był według bajek francuskich Perrault, d‘Aulnoy i Leprince de Beaumont.

Następny koncert piątkowy zawierał w I-ej części 3 dzieła klasyczne: uwerturę „Coriolan“ Beethovena, adagio i fugę Mozarta na orkiestrę smyczkową i koncert skrzypcowy Brahmsa (partię skrzypcową wykonał utalentowany skrzypek Ryszard Odnoposoff, zamieszkały we Wiedniu, emgirant rosyjski, laureat konkursu Wiedeńskiego i Brukselskiego), zaś w II-ej części — „Małą uwerturę‘ Palestra, „Noc na Łysiej górze“ Mussogrskiego i „walc“ Ravela. Dla charakterystyki tego koncertu dodajmy, że dyrygował nim usilnie lansowany przez arystokratyczne salony paryskie jako dyrygent i kompozytor, p. Igor Markiewicz, który jednakże prowadzeniem orkiestry, zwłaszcza fugi Mozarta i akompaniamentu do koncertu Brahmsa, wykazał zasadniczy brak umiejętności w zawodzie kapelmistrzowskim. Należy się z tej racji specjalne uznanie orkiestrze, że mimo wciąż opóźniających się znaków dyrygenta, dzielnie dotrzymywała placu soliście, idąc za nim bez względu na - przeszkadzające ruchu kapel mistrza

Od chwiejnej niepewności, w jakiej trzymało wciąż słuchacza dyrygowanie p. Markiewicza, swobodnie odetchnąć pozwoliła na ostatnim koncercie piątkowym znakomita batuta Emila Coopera, kapelmistrza doświadczonego o głębokiej wiedzy, który mimo siwej czupryny, posiada bujny młodzieńczy temperament, pociągający zarówno orkiestrę jak i audytorium.

Program tego koncertu poświęcony był prawie wyłącznie muzyce francuskiej. Szkice symfoniczne „Morze“ Debussy‘ego i suita z baletu „Dafnis te Chloe“ Ravela — to muzyka ściśle związana z programem; stosuje się więc do niej w całej rozciągłości to, co powyżej powiedzieliśmy o muzyce programowej w odróżnieniu od muzyki „absolutnej“.

Obok Debussy‘ego Ravela, usłyszeliśmy na tymże koncercie, koncert skrzypcowy Saint-Sciensa w wykonaniu prof. Wacława Kochańskiego z tow. orkiestry „Trianę“ Albeniza w orkiestracji Arbosa „Bourrée fantasque“ Chabier‘a oraz 3 utwory na głos solowy z orkiestrą, a mianowicie Francka „Procession“, „Nokturu“ Duparc‘a „Invitation an voyage“.

Utwory te odśpiewała p. Flora Moulaert — Maas, po raz pierwszy pojawiająca się w Warszawie. Wdzięczni jesteśmy Filharmonii za poznanie tak fascynującej siły odtwórczej. Piękny głos, dobrze wyszkolony, głęboboka muzykalność i intensywna koncentracja duchowa sprawiają, że od pewnych taktów słuchacz daje się porwać talentowi tej artystki, i to raczej od strony podejścia muzykalnego niż efektu wokalnego, co niewątpliwie należy do nejcenniejszej kategorii artystycznych.

*

Koncerty popołudniowe są w Filharmonii w tym sezonie rzadkością. Za to licznie stawiła się publiczność na popołudniówkę pod dyrekcją J. Horensteina. Trudno orzec, czy przyciągnął tę publiczność dyrygent, cieszący się w Warszawie już ustalonym, jak najlepszym imieniem, czy też V-ta symfonia Beethovena poprzedzona „Eleonorą Ñr 3“, czy może zawsze chętnie słuchana — zwłaszcza w tak dobrym wykonaniu — „Schecherezada“ Rimskiego — Korsakowa, pełne śpiewanych melodii i świetnie brzmiącej instrumentacji.

Z. SEGAŁOWICZ

Szewc i Don Kichot

Na początku wojny światowej przebywałem w Mińsku. Do Warszawy wrócić nie mogłem, gdyż znajdowała się już po drugiej stronie frontu, pojechać w głąb Rosji również nie mogłem, poprostu nie miałem za co. Kręciłem się więc po ulicach miasta z pustą duszą i niejednokrotnie z pustym żołądkiem. Patrzałem na ludzi, na transporty wojska, które ze śpiewem szły na front i na transporty rannych i kalek, które wracały z frontu. Nie miałem żadnego zajęcia ani celu. Szukałem „zeszłorocznego śniegu“ lecz był on już dawno rozdeptany ciężkim krokiem żołnierzy. Nie miałem wówczas nikogo z kim mógłbym porozmawiać. To też łaziłem po mieście w powykręcanych niemożliwie butach. A kiedy człowiek ma podarte buty, traci szacunek dla samego siebie.

By się uratować przed całkowitym upadkiem, trzeba było pomyśleć o butach. O kupnie nowych nie mogłem nawet marzyć. Z trudem zebrałem kapitał (z pożyczek) na naprawę starych. Są wprawdzie podarte i powykręcane, ale szewc mi je jakoś naprawi. Za pieniądze wszystko da się zrobić. A kiedy będę miał już nowe buty, stanę się znowu człowiekiem.

Z zebranym kapitałem udałem się do szewca. Drugiej pary butów nie miałem. To też wiedząc, że naprawa będzie musiała trwać kilka godzin, zabrałem z sobą książkę. Szewc będzie operował dratwą, będzie wbijał kołki, a ja sobie tymczasem poczytam. Zabrałem dość niezwykłą książkę: „Don Kichota z Manchy“ sławetnego Cervantesa. Nie potrafiłbym powiedzieć, który raz już ją czytałem, ale czytałem ją jak zawsze z dużym zainteresowaniem. Daleki od warsztatu szewckiego, moich butów i mego położenia, przebywałem w dalekiej nieznanej Hiszpanii, miałem giermka Sancho, kochankę Dulcyneę, jeździłem na wychudłej szkapie, walczyłem z wiatrakami... Czytam jak Don Kichot powiedział Dulcynei coś zabawnego. Zacząłem sę śmiać. Nie mogłem pohamować głośnego śmiechu. Szewc przerwał pracę nad mymi butami i począł niespokojnie patrzeć w moją stronę. A przede wszystkim schował do szuflady kilka noży szewckich, które dotąd leżały na warsztacie.

Odtąd szewc zaczął pracować niespokojnie, a ja niespokojnie czytałem. Co parę chwil zerkał ku mnie ukradkiem, a ja zerkałem w jego stronę. Aż wreszcie zagłębiłem się z rozkoszą w książkę i uśmiechnąłem sie do siebie. Nagle znowu wybuchnąłem głośnym śmiechem. Szewc zadrżał, a potem zawołał do żony, znajdującej się w drugiej izdebce:

— Daj mi kawałek chleba i gruszkę.

— Co? Już znowu? Przecież dopiero jadłeś?

— Daj mi chleba i gruszkę, powiadam.

W jego głosie słychać było lęk i nadzieję jakgdyby ta kromka chleba i gruszka były ostatnim ratunkiem. Po krótkiej chwili weszła szewcowa niosąc sporą pajdę chleba i dużą gruszkę. Ja czytałem, ale dobrze widziałem i chleb i owoc. (Sam byłbym na nie amatorem.) Ale widziałem też jeszcze coś innego. Kiedy szewcowa kładła na warsztat jedzenie, mąż jej ukradkiem wskazał na mnie i zastukał palcem w czoło. Chciał jej pokazać, że jestem wariatem. Kiedy to spostrzegłem wybuchnąłem znowu głośnym śmiechem. Szewc ze strachu opuścił chleb. Przerazili się oboje. Prędko zbierał co jeszcze leżało na warsztacie, przecież przed wariatem należało schować noże, młotki. Na wszelki wypadek trzeba być ostrożnym.

Odtąd byliśmy już we trójkę. Szewc, jego żona i ja. Ona usiadła na taburecie pomiędzy mężem i mną. Oboje patrzyli na mnie i pilnowali mnie. A ja czytałem i starałem się panować nad sobą. Ale to już zawsze tak jest: im więcej się człowiek stara, tym mniej mu się udaje. Dusiłem w sobie śmiech. Teraz już śmieszyły mnie nie tylko przygody Don Kichota, ale i sytuacja, jaka powstała w warsztacie, strach pary małżeńskiej przed domniemanym wariatem. Strach ich był tak wielki, że nie mogli go już ukryć. I szewc spytał:

— Z czego się pan tak śmieje?

— Bo czytam bardzo zabawne historie.

— Co to za historie?

Próbowałem im objaśnić te zabawne historie, ale widziałem, że to nie skutkuje. Mieli bowiem o moim śmiechu wyrobione zdanie. Patrzeli na mnie ze strachem i współczuciem. Ale cóż mnie to obchodzi. Przyszedłem oddać buty do naprawy i aby się nie nudzić wziąłem z sobą książkę. Czytam więc i reaguję tak, jak mi się podoba. Don Kichot rozśmiesza mnie — więc się śmieję. Znowu wybuchnąłem. Szewc przestał wbijać kołki, a jego żona przyniosła szklankę wody. Byłem jej wdzięczny, bo pić mi się chciało.

— Wybaczcie, że się tyle śmieję, ale te historie są takie śmieszne...

Szewc zabrał się znów do roboty, co chwila rzucał na mnie spojrzenie. Szewcowa wykorzystała chwilę mego spokoju i wykradła się przed dom. Poszła po pomoc. I rzeczywiście w parę minut później weszła z sąsiadem. Kiedy spojrzałem na przybysza zrobiło mi się zimno. Był to mężczyzna rosły, tęgi, barczysty o karku byka. Wyglądał jak atleta. Strach ogarniał na sam widok jego rąk. Rozumiałem dobrze po co go tu sprowadziła. Bali się mego śmiechu. Człowiek, który się śmieje na głos przy czytaniu książki, musi być wariatem. Lepiej więc jeśli jeszcze ktoś będze w izbie i to właśnie ktoś mocny. Sąsiad o potężnych barach usiadł między szewcem a mną aż krzesło zatrzeszczało, spojrzał pewnym wzrokiem na szewczyka, jakby mu chciał dać do zrozumienia, że teraz może już spokojnie pracować.

Położenie stało się nieznośne. Prestałem czytać, bo a nuż bym natrafił na jakąś zabawną przygodę Don Kichota i nie mógłbym pohamować śmiechu, wtedy — niewiadomo coby wtedy mogło nastąpić. Szewczyna zacząłby znowu drżeć ze strachu, olbrzym mógby się rzucić na mnie, by mnie związać jak prawdziwego wariata. Siedziałem w milczenu. Szewc w mlczeniu wbijał kołki w podeszwę. Szewcowa nic nie mówiąc obserwowała mnie spod pieca. Atletyczny sąsiad równeż milczał. Cztery osoby w izbie, wszystkie milczały. Już to samo było dość śmieszne. Powstrzymałem się jednak od śmiechu i słuchałem uderzeń młotka szewskiego.

Wkrótce dostałem z powrotem moje buty. Jakby nie moje, całe, proste, błyszczące. Kiedy je wdziałem, poczułem się zupełnie inaczej. Teraz pewnie stałem na nogach. Byłem trzeźwy i normalny, choć patrzeli na mnie jak na wariata. W ostatnim momencie, kiedy już byłem w drzwiach, postanowiłem wypłatać im figla. Odwróciłem się do obecnych, pokazałem im język i bąknąłem: „Mmeee“. Szewc zadrżał i omal nie upadł z przerażenie, jego żona cofnęła się o parę kroków, atletyczny sąsiad powoli powstał ze swego krzesła zaciskając pięści. Ale mnie już nie było...

Chodziłem już teraz w całych butach. Byłem podniesiony na duchu.

Jak to dobrze nosić całe buty. Co jakiś czas przypomniałem sobie scenkę u szewca. Jacy wystraszeni byli ci ludzie. I musiałem się znowu śmiać. Przechodnie patrzyli na mnie ze zdzwieniem. Nie moi drodzy, nie jestem wariatem. To genialny Cervantes tak mnie dziś rozbawił.

Z okazji 35-cio lecia twórczości literackiej Autora
przełożyła B. Lewitówna.

ANTENA ŚWIATA

Lady Chamberlain

Podczas ostatniego przesilenia gabinetu brytyjskiego, wielką rolę odegrał jakiś tajemniczy pośrednik między premierem Chamberlainem a Mussolinim.

Pośrednik ten poinformował premiera o zamiarach Duce, zanim nadeszła wiadomość oficjalna z Rzymu i co ważniejsze, zanim dowiedział się o tym ten, kto powinien był wiedzieć pierwszy, t. zn. minister spraw zagranicznych.

Był to zresztą jeszcze jeden z powodów dymisji Edena.

Kto to był ten tajemniczy pośrednik, który już w niedzielę rano — oficjalna wiadomość nadeszła w poniedziałek — poinformował premiera o tym, iż Mussolini godzi się podjąć rokowania na podstawie formuły brytyjskiej.

Nie wiadomo.

Jedni mówią, że to lady Chamberlain, wdowa po Austenie Chamberlainie, która bawi obecnie w Rzymie, dowiedziała się o tym prywatnie i natychmiast zatelefonowała do Londynu, zawiadamiając o tym szwagra. Inni znów mówią, iż znany dziennikarz Garvin, który dzięki prywatnym stosunkom dowiedział się o tym od ministra Ciano i nie omieszkał poinformować o tym premiera.

Sam premier milczy i nie chce uchylić rąbka tajemnicy.

Jednakowoż przeważająca większość opinii publicznej w Anglii jest zdania, że owym tajemniczym informatorem była właśnie lady Austen Chamberlain, jedna z najbłyskotliwszych postaci epoki powojennej. Dzięki jej interwencji i pomocy przeprowadzono cały szereg posunięć politycznych na terenie międzynarodowym. Była ona szczerą i serdeczną przyjaciółką Stresemana a po dzień dzisiejszy jest wierną i oddaną przyjaciółką Mussoliniego.

Nie ma ani jednej stolicy w Europie gdzie lady Chamberlain nie miałaby wpływów.

Lady Chamberlain mieszka w Rzymie od półtora roku. Wysoka, elegancka, kulturalna, o czarującym głosie, posiada niezwykły urok. Podobnie jak jej zmarły mąż rozumie ona i kocha mentalność i kulturę łacińską. Kocha malarstwo i rzeźbę bardziej, aniżeli dyplomację. W Rzymie dzięki przyjaźni z Mussolinim, datującej się od 1925 roku, otworzono przed nią drzwi najbardziej ekskluzywnych salonów. O wpływach i znaczeniu lady Chamberlain najdobitniej świadczy przytoczona poniżej anegdota: W czasie pewnego przyjęcia dyplomatycznego zbliżył się do hr. Ciano pewien dyplomata cudzoziemski i zapytał, czy prawdą jest, iż w najbliższym czasie rozpoczną się pertraktacje włosko - angielskie.

Minister Spraw Zagranicznych zwrócił się do stojącej w pobliżu lady Chamberlain i odrzekł:

„Lady Chamberlain może pana w tej sprawie poinformować lepiej, aniżeli ja".

Było to w końcu 1925 roku, kiedy Mussolini, wielki wielbiciel Sir Austena, ówczesnego ministra spraw zagranicznych, poznał lady Chamberlain. Il Duce, który obdarzał niezwykłym zaufaniem Sir Austena, przeniósł całe to zaufanie na jego wdowę.

Jest ogólnie wiadomym, że lady Chamberlain ma większe wpływy w pałacu Chigi aniżeli jakikolwiek dyplomata zagraniczny. Lady Chamberlain nie ograniczyła swej działalności jedynie do stosunków włosko - angielskich. W latach 1924—1929 współpracowała ona ściśle ze swym mężem, i jeśli Sir Austen był „panem Locarno", to o niej można śmiało powiedzieć, że była „panią Locarna".

Odegrała ona wybitną rolę w pertraktacjach, które początkowo źle się zapowiadały. Niemcy byli zdenerwowani. Nikt nie podał im ręki na przywitanie. Spostrzegła to lady Chamberlain, która porozumiewawszy się z mężem pierwsza zbliżyła się do grupy Niemców i wyciągnęła dłoń do Stresemana na powitanie. Lody zostały przełamane.

W końcu podajemy jeszcze jeden szczegół, podkreślający charakter przedsiębiorczy wdowy po wielkim angielskim ministrze.

Główny komisarz wystawy światowej w Chicago prosił ją o interwencję u poszczególnych rządów europejskich, aby uzyskać wysłanie na wystawę do Chicago obrazów należących do zbiorów narodowych. Pomimo trudności przedsięwzięcia, albowiem istnieją ustawy zabraniające wysyłania obrazów, stanowiących własność muzeum narodowego, lady Chamberlain uzyskała pozwolenie we Francji na Milleta, we Włoszech na Raphaela, w Hiszpanii na Velasqueza, a w Holandii na Van Dycka.

Taką jest ta kobieta, która już od trzynastu lat pracuje nad zbliżeniem narodów.

Jaka jest tajemnica jej powodzenia? Otóż podobnie jak jej mąż traktuje ona zagadnienia dyplomatyczne i polityczne ze strony ludzkiej i przy wszystkich rozmowach oficjalnych, umie ona stworzyć odpowiednią, życzliwą atmosferę.

Częstokroć praca jej była zwalczana w kołach angielskich ze względów politycznych.

Lecz w danej chwili, szwagier jej, obecny premier, znajdzie w Lady Chamberlain poparcie i pomoc, którego już dała dowody w czasie ostatniej epopei brytyjskiej.

WZMOŻONY RUCH TURYSTYCZNY DO PALESTYNY

Ostatnio daje się zaobserwować silne ożywienie ruchu turystycznego z Polski do Palestyny. Przyczyną tego zjawiska jest przede wszystkim uspokojenie kraju i normalizacja życia palestyńskiego. Do tego wiosna w Palestynie jest najpiękniejszą i najodpowiedniejszą dla zwiedzania kraju porą roku. Pierwszy port żydowski w Tel-Awiw, do którego zawijają już okręty pasażerskie, jest radosną atrakcją dla każdego Żyda, pragnącego własnymi oczyma zobaczyć odrodzoną Ojczyznę narodu żydowskiego.

W związku z tym Wydział Turystyki przy C. K. Organizacji Syjonistycznej w Polsce przystąpił do zorganizowania już w najbliższym czasie (na Purim i na Pesach) indywidualnych i grupowych ekskursji do Palestyny. Wydział Turystyki utrzymuje kontakt z właściwymi instytucjami żydowskimi w Palestynie.

We wszystkich sprawach, związanych z turystyką palestyńską należy zwracać się: **Komitet Centralny Organizacji Syjonistycznej w Polsce, Warszawa,, Pl. Grzybowski 10**

Rada Cesarska

Jest to po raz piąty w historii Japonii, że zbiera się Rada Cesarska.

Po raz pierwszy rada ta zebrała się w latach 94—95, w czasie wojny chińsko - japońskiej. Podczas swej trzeciej sesji Tokio wypowiedziało wojnę Rosji, a podczas piątej ogłoszono przystąpienie Japonii do wojny z 1914 roku.

Tym razem cesarz Hiroto nie wysłuchuje dyskusji, lecz wypowiada swe „boskie" życzenia przez pośrednictwo trzech książąt, którzy reprezentują w chwili obecnej, całą potęgę japońską. Są to: Kotobito Kanin, 72 letni weteran wojen z lat 1895 i 1905, najwyższy wódz armii; Hiroyasu Fishimi, admirał floty, lat 62, najbardziej zrównoważony i nieprzejednany człowiek Nipponu oraz Fuminaro Konve, premier, młody człowiek, bo zaledwie liczący 46 lat.

Kolorowe drogi

Brytyjski wydział drogowy przeprowadza obecnie bardzo ciekawe doświadczenia z kolorowaniem dróg samochodowych, aby ustalić, jaki kolor jest najodpowiedniejszy dla pory nocnej i zarazem najmniej przeszkadza w ciągu dnia.

Albowiem, jak wiadomo wszystkim automobilistom, szare drogi są bardzo niebezpieczne nocą, gdyż przy świetle reflektorów automobilowych nie zawsze można dokładnie widzieć koniec drogi, zlewający się z okrążającymi ciemnościami.

Biała powierzchnia nie posiada tych wad, stawia ona jasne i dobrze widoczne granice. Jej niewygoda polega na tym, że biały kolor odbija światło reflektorów i tym samym oślepia automobilistów. Według więc tych danych dróg nie można malować na biało. Postanowiono więc, wypróbować inne kolory — czerwony żółty i różowy.Granicę każdej drogi oznacza się czarną linią która najlepiej rozgranicza powierzchnię pokrytą farbą czy też zalaną betonem.

Dramat na morzu

Londyńskie pisma podają wiadomości o strasznym wydarzeniu które miało miejsce nie dawno na morzu w Sidney.

Amerykański krążownik „Lonwill" po kilkudniowym pobycie, opuszczał port. Cała ludność miasta serdecznie przyjmowała amerykańskich gości. Grupa entuzjastów postanowiła odprowadzić amerykański krążownik aż do wypłynięcia na ocean. 175 osób z orkiestrą wypłynęło na maleńkim statku.

Z obydwu stron rozlegały się bez przerwy okrzyki „hurra".

Wyjście z zatoki sidneyskiej jest bardzo niebezpieczne dla okrętów. Fale z wielką gwałtownością uderzają o skały, także małe statki muszą manewrować z wielką ostrożnością, aby nie dostać się na skały.

Przeciążony maleńki statek nie wytrzymał próby i przewrócił się.

Na okręcie grała orkiestra policyjna. Policjanci wszyscy silni i dobrze trenowani chłopcy rzucili się na pomoc tonącym.

Ratunek był szczególnie trudny, dlatego, że w zatoce tej jest pełno rekinów.

Liczni marynarze z „Lonwilla" również „pospieszyli na pomoc. Większą ilość pasażerów uratowano. 145 osób tylko się przelękło. Z wody wydobyto 6 trupów, lecz 24 osób nie odnaleziono. Zostały one najpewniej pożarte przez rekiny.

Pragniesz pokoju, szukuj się do wojny...

Nikt ni cehce wojny. Wszyscy mówią o konieczności zapewnienia pokoju, tym nie mniej we wszystkich państwach wre gorączkowa praca nad przygotowaniami wojennymi.

Dla przykładu weźmy Stany Zjednoczone. Uchwalono tam ostatnio kredyty w wysokości 30 milionów dolarów, przeznaczone wyłącznie na nowe eksperymenty z narzędziami wojny, głównie z samolotami i amunicja. W związku z czym przeprowadzane są doświadczenia stworzenia nowego bombowca, któryby się odznaczał dalekim promieniem działania, zdolnością zabierania wielkiej ilości ładunku oraz znaczną szybkością.

Konstruktor amerykański Glenu Martin skonstruował bombowiec, którego promień działania sięga 17.600 km., ale za to przy takim wielkim promieniu działania powinien być minimalny ciężar zabranych bomb.

Konstruktorzy amerykańscy nie dają jednak za wygrane i w dalszym ciągu pracują nad ulepszeniem samolotu bombowego. Ideałem ich ma być taki typ samolotu, któryby z Alaski czy też z wysp Hawajskich mógłby zrzucić na Tokio odpowiednią ilość bomb.

Nad podobnymi eksperymentami pracują również konstruktorzy angielscy. Toteż nagłe zaginięcie ostatnio skonstruowanego bombowca angielskiego jest dla wszystkich zagadką. Mówi się głośno, że to był akt sabotażu. Kto wie, czy bombowiec nie jest już obecnie w posiadaniu jakiegoś obcego państwa, bo dotychczas nie umiano znaleźć jakichkolwiek śladów katastrofy.

Praca nad konstrukcją nowego bombowca trwała ta, a powodzenie czy też niepowodzenie konstruktora jest ogromnie doniosłym czynnikiem jeśli chodzi o możliwość rychłej wojny.

Niemcy w dziedzinie przygotowań zbrojeniowych poniosły ostatnio wielką klęskę albowiem ich najnowszy bombowiec rozleciał się w powietrzu w czasie próbnego lotu. Dali. więc, przynajmniej na razie. spokój lotnictwu i zabrali się do reformy uzbrojenia piechoty. Zamieniające będące dotychczas w użyciu 5. strzałowe karabiny na czternastostrzałowe automatyczne.

Prócz techników również i szpiedzy nie próżnują jeśli idzie o przygotowanie się do przyszłej wojny.

Prym w dziedzinie organizacji szpiegostwa dzierży Japonia. Ostatnio w Tokio urządzono wielką wystawę, mającą pokazać metody działania szpiegów. Wystawa zwiedzana ajest przez olbrzymie tłumy ludności, a dzienniki zamieszczają długie opisy, mające nauczyć czytelników metod pracy szpiegowskiej po to, aby w razie potrzeby mogła ludność cywilna im się przeciwstawić.

Również i Stany Zjednoczone postanowiły się bronić przeciwko szpiegom. Czego dowodem jest fakt, iż wbrew istniejącym zwyczajom zabroniono filmować manewry floty, rozgrywające się w pobliżu japońskich wysp mandatowych na Oceanie Spokojnym. Jest to duża zmiana w metodach amerykańskiego sztabu, który dotychczas chętnie patrzał na wyświetlanie filmów ilustrujących manewry floty.

Dałoby się jeszcze dużo mówić na ten temat. Najbliższa przyszłość okaże nam czy przygotowania te rzeczywiście gwarantują pokój jak często zapewniają przy każdej okazji najrozmaitsze czynniki miarodajne.

Umarli na pomoc żyjącym

W ostatnich latach medycyna odkryła nową dziedzinę, która z każdym dniem stanowi coraz większy skarb w leczeniu ciężkich przypadków.

Mowa jest o wykorzystywaniu zmarłych dla ratowania żyjących.

Dotychczas transfuzji dokonywano jedynie z organizmu żywego do organizmu żywego. Dzięki doświadczeniom uczonych rosyjskich, profesorów Szanowa i Judina nauczono się przechowywać przez dłuższy okres czasu krew pobraną bądź to z organizmów żywych bądź też umarłych. W ten sposób rozpoczęto instalować po wszystkich szpitalach specjalne przechowalnie wszytkich rodzajów krwi mogących się przydać przy zabiegach chirurgicznych.

Lecz wiedza lekarska nie zatrzymała się w połowie.

Każdy organ może żyć jeszcze pewną ilość godzin względnie dni po śmierci; i w związku z tym uczeni amerykańscy zaobserwowali, że tętnice i żyły wycięte z trupa mogą się jeszcze przydać dla uratowania żyjących. W ten sposób zacznie się przechowywać po szpitalach nie tylko zapasów krwi, ale skóry, żył, tętnic i t. p.

Królowa diamentów

Gussie Firstenberg, królowa przemytników brylantów, która w przeciągu dziesięciu lat wielokrotnie przekraczała granice Stanów Zjednoczonych, poddała się, przyznała się i zgodziła się na przewód sądowy. W ciągu dziesięciu lat Gussie przewiozła brylantów za przeszło 13 milionów dolarów, aczkolwiek znana była jako królowa przemytników. Jej przekroczenia granicy sławne były w Stanach Zjednoczonych: Gussie poddano szczegółowej rewizji całej brygady koblet - celniczek, które zaglądały jej do ust, do włosów i oglądały skrupulatnie całe jej ciało. W tym samym czasie miss Firstenberg za opłatą dwustu złotych przesyła brylanty przez przygodnie spotkanych ludzi. Trik ten został wydany przez jednego z czonków bandy, odtrąconego kochanka. A teraz niestety Gussie będzie musiała podporządkować się wyrokowi sprawiedliwości.

Kopciuszek

Kopciuszek znalazł w tym roku wcielenie męskie. Artur Griffith przezwany Kopciuszkiem, zadebiutował w życiu jako strzelec i chłopiec biurowy w małym miasteczku Tenlay, W Galii południowej.

Przy jego narodzinach miejscowa wróżka przepowiedziała jego matce, że będzie on człowiekiem najszczęśliwszym na świecie.

W ciągu trzydziestu lat przepowiednia jakoś się nie spełniała. Mimo to wierzył i liczył się bardzo z przepowiednią miejscowej wróżki i we wszystkich poczynaniach życiowych słuchał jej rad. Po śmierci wróżki poświęcił się spirytyzmowi, aby w ten sposób móc utrzymać kontakt ze zmarłą. W owym czasie duch wróżki polecił mu zaciągnąć się na okręt, wyruszający określonego dnia z Liverpoolu.

Tam spodobał się on tak bardzo pewnej bogatej pasażerce, że zaofiarowała mu sumę 50 tys. dolarów, aby mógł się jakoś urządzić w życiu. Po powrocie z tej podróży Artur Griffith poznał na jednym z seansów spirytystycznych lady Florę Knollys, wdowę niezmiernie bogatą i ekscentryczną. Pani Knollys zakochała się w Griffithie i mimo sprzeciwu swej rodziny poślubiła go.

Obecnie Griffith nazywa się Artur Bernardis des Veaux; obiadował już przy stole króla norweskiego... i jest człowiekiem najszczęśliwszym na świecie.

Rozrywki umysłowe

ZADANIA Nr 8

Szarada

Na żydomanię pan redaktor
Ipcio zachorował,
Więc noc całą na całego
żydów ekspediował

Trzy-dwa we śnie, krzyczy, szczuje:
„Precz stąd, Żydy!" Na całego!"
„Icków, Srulków, walić Żydów!"
„Walka?... Owszem!" „Swój do swego!"

Czwór-trzy pańska? Na manowce!
Drogi panie, Ipcio miły.
Czwór-trzy żydów sprawiedliwsza
I niczym pańskie siły!

Cała trzy-raz pańskich skarg
są nieludzkie, panie drogi!
więc żydzi polscy — tu zostaną,
lecz barbarzyńcy — w nogi!

ZADANIE Nr 9

Wizytówki

a) A. Bas, Radom.
b) M. Kletz, Paris.
c) St. Festang, Kairo.

Po odpowiednim przestawieniu liter, odczytać zawody tych trzech panów.

ZADANIE Nr 10

Lotogryf

Proszę napisać 5 siedmioliterowych wyrazów o podanym niżej znaczeniu.

Litery rzędów 2 i 6 czytane w kierunku pionowym dadzą jako rozwiązanie imię i nazwisko Żyda, członka Rządu Narodowego, podczas powstania 1863 r.

Znacz. wyrazów:

1) Krople wody w powietrzu, 2) Zrzeszony w cechu. 3) Dawne przedmieście, obecnie część Wilna na lewym brzegu Willi. 4) Ciężka choroba zakaźna, gwałtowne biegunki (wspak, t. j. należy wpisać w kierunku odwrotnym), 5) W starożytności kobieta jasnowidząca.

Termin nadsyłania rozwiązań z n-ru bieżącego, upływa z dniem 20 marca b. r. Decyduje data stempla pocztowego.

Rozwiązanie zadań ze „Steru" Nr 6 (52).

Zadanie nr 1 (krzyżówka). **Wyrazy poziome:** mila — lis — anomalia — akumulator — Apollo — arak — as — Erato — taran — waga — politura — radykalizm — Marsylia — ars aaaa. **Wyrazy pionowe:** ma — analfabteyzm — Ikar — ra — — lupa — ar — amok — ta — ul —on llll — iaoi — St — Ra — pa — ar — oda — ryl — iks — la, albo fa — siwula — aria — gaza — ambiwalencja ma.

ZADANIE Nr 2 (rebus)

„Literatura" (litera-tur-a)

Nagrody otrzymują:

1) Książkę: R. Bornstien, Kalisz, ul. P.O.W. 5.

2) Bezpł. prenumer. mies. „Steru": M. Hochberg, Warszawa, Gęsia 27 m. 19 (od 15 marca br.)

(Demar).

Złote koszule

Złote koszule szykują się. Złoto, jest kolorem faszyzmu meksykańskiego tak, jak czerń — włoskiego, bronz — niemieckiego.

Dzienniki podały ostatnio wiadomość opartą na korespondencji z Meksyku, że jeszcze w miesiącu lutym wybuchnąć tam ma rewolucja mająca na celu usunięcie istniejącego rządu lewicowego z dyktatorem Cardenasem na czele.

Niektóre pisma dodawały jeszcze szczegół, że Niemcy wyekwipowały i zaopatrzyły w broń przeszło 100 tys. faszystów meksykańskich, którzy zajmą kraj i których akcja będzie wstępem do wprowadzenia ustroju faszystowskiego naprzód w Ameryce Środkowej, a następnie w Ameryce Południowej.

Generał Mikołaj Rodriguer, wódz złotych koszul, przebywający od roku 1936. na wygnaniu w Texasie, rzeczywiście opuścił w sposób tajemniczy swoją rezydencję na początku ubiegłego miesiąca. Równocześnie rozpoczęły się zamieszki w różnych miejscowościach meksykańskich. Lecz oddziały rządowe szybko poradziły sobie z powstańcami.

Marte Gomez, gubernator Matamoros, miasta, w którym rozruchy wybuchły, z największą intensywnością spacerował ostentacyjnie po mieście bez eskorty, aby pokazać mieszkańcom, że to wszystko fraszka. Po paru minutach miał on wokoło siebie eskortę... z pięknych Meksykanek. W ten sposób zakończył planowany faszystowski zamach stanu w Meksyku.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł.; półrocznie 6 zł.
Ceny ogłoszeń. za m/m za tekstem 80 groszy., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor Dr. M. KLEINBAUM — Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. — Druk. „Grafia" Nowolipki 7 — Red. odp.: A KLARMAN.